Nr. 25 Poznań, Niedziela dnia 18 czerwca 1911. Rok XV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy czteroraz. (miesięczn.)		„	15%
„ kwartalnem	13 ×	„	25%
„ półrocznem	26 ×	„	33⅓%
„ rocznem	52 ×	„	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. **Telefon 87.**

Nr. 25. Poznań, dnia 19 czerwca 1911 r. Rok XV.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 — Telefon Nr. 98 — Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Z widowni Bałkańskiej.

Rządy krwawego Abdul Hamida w Turcyi, lubo twarde i barbarzyńskie, miały tę dobrą stronę, że odznaczały się daleko idącą tolerancyą ras i wyznań. I byle się poddani sułtańscy nie mieszali do polityki, mogli żyć we względnym pokoju. Nikt się nie pytał o ich przekonania religijne i narodowe, nikt nie narzucał im innej wiary i innego języka. Stare zwyczaje i obyczaje uświęcone tradycyą wieków doznawały uszanowania. Mimo despotyzmu sułtana i jego satrapów, mimo wszelkiej samowoli rządzących, zróżniczkowana pod względem narodowym i wyznaniowym Turcya była także zróżniczkowaną pod względem administracyjnym, liczyła się z odrębnemi właściwościami ludów poszczególnych zamieszkujących państwo padyszacha.

Nie było może w tem tyle rzetelnej wyrozumałości, ile słabości rządu. Jakkolwiek było, faktem jest, że kilkowiekowe panowanie Turków na Bałkanie nie wynarodowiło ani jednego z licznych tam zasiedziałych szczepów, ani jednemu nie narzuciło gwałtem swej wiary.

Przyszła rewolucya turecka i z nią nowe czasy. Obalono stary porządek rzeczy. Uchylono wiele nadużyć, zaprowadzono względny ład i porządek w państwie. Lecz ręka w rękę z ulepszeniami wprowadzonemi na modłę zachodnią, wprowadzono do decentralistycznie rządzonego państwa konstytucyę unifikacyjną, zaczęto rządzić na podstawie daleko posuniętego centralizmu, zaczęto odejmować narodom i wyznaniom dotychczasowe swobody, a rząd i parlament obniżono do roli maryonetek, działających tak jak tego życzył komitet młodoturecki, będący jedyną rzeczywistą władzą w Turcyi.

Komitet ten złożony z żywiołów liberalnych, przepełnionych wyobrażeniami i doktrynami przejętemi żywcem z przykładów zachodnich, a nieodpowiednich dla państwa tak zróżniczkowanego pod względem narodowym i wyznaniowym jak Turcya, za jednym zamachem pragnął utworzyć naród turecki, zapominając, że do takiej niwelizacyjnej czynności potrzeba wiekowej pracy opartej na podstawach danych przez rozwój dotychczasowej historyi.

Jakoż nie mieli szczęścia Młodoturcy w swem poczynaniu. Krótko po zagarnięciu władzy utracili na rzecz Austryi Bośnię i Hercogowinę, stracili Rumelię i zwierzchnictwo nad Bułgaryą, której mądry i dzielny książe przedzierżgnął się w króla udzielnego, dożyli strasznych upokorzeń ze strony mocarstw europejskich, mają ustawiczne trudności z Grecyą, której apetyty na Kretę wzrosły niepomiernie, nareszcie zrazili sobie Arnautów, którzy za czasów dawnych sułtanów niezachwianą wiernością się odznaczali.

Do ustawicznych buntów Arabów w Yemenie, prowincyi położonej nad Morzem czerwonem, przyłączył się nowy ciężki kłopot w europejskiej Turcyi: powstanie albańskie, które od kilkunastu miesięcy niepokoi rząd turecki, a ostatnio na nowe i dotkliwe go naraziło upokorzenia ze strony Rosyi i Austryi, które to państwa w bardzo bezwzględny sposób przedstawiły Turkom swe objekcye i dezyderata.

Sprawa powstania albańskiego pogorszyła się bowiem dla Turcyi o tyle, o ile do powstania Arnautów mahometańskiego wyznania przyłączyli się także Arnauci chrześciańscy t. zw. Mirydyci, żyjący w bilskiem sąsiedztwie z Czarnogórzem.

W Czarnogórzu panuje król Mikołaj I. Do niedawna jeszcze książe, potrafił ten monarcha miniaturowego państewka — Czarnogórze bowiem liczy tylko około ćwierć miliona mieszkańców, a więc tylu, co w naszych stronach większe miasto — zawiązać z domami panującemi w Rosyi, Włoszech, Serbii i Meklenburgii stosunki rodzinne przez małżeństwa licznych swych dzieci. A także potężna wpływami swemi na Bałkanie Austrya woli w dzielnym królu bitnego narodu czarnogórskiego mieć przyjaciela niż wroga. Ponieważ zaś Czarnogórze ma porachunki z Turcyą, a król Mikołaj pragnąłby za każdą cenę rozszerzyć granice swego państwa, przeto podsyca obecny pożar albański w nadziei, iż przy ogniu tym własną zdoła upiec pieczeń.

Doszło nareszcie do tego, że Albańczycy proklamowali niepodległość swego narodu. Proklamacyę niepodległościową zaś podpisał Arnauta włoski Tozzi.

Widzimy więc, że coraz bardziej wikła się sprawa bałkańska, że coraz czarniejsze chmury gromadzą się na

widnokręgu politycznym. Na Bałkanie bowiem zbyt wiele interesów mocarstw postronnych się zbiega i krzyżuje, żeby można na obecnie tam kotłujące zamieszki spoglądać bez wszelkich obaw. Wiadoma przecież, że Rosya, poniósłszy porażkę na dalekim wschodzie, obecnie pilnie śledzi wypadki bałkańskie. Chodzi jej o zdobycie na nowo poblakłych znacznie sympatyj narodów słowiańskich na Bałkanie, aby z ich pomocą osiedlić się w Carogrodzie. Włochy uważają Albanię za swoją domenę i oddawna przygotowują jej zabór. Również Austrya, popierana przez Niemcy, w pochodzie na wschód upatruje swe zadanie i dlatego sprzeciwiać się musi wszelkim aspiracyom bałkańskim Włoch i Rosyi. Poważne interesy na Bałkanie mają także Francya i Anglia. Pierwsza dla tego, ponieważ dostarczyła Turcyi olbrzymich kapitałów i przeto nie może życzyć jej pogromu; druga, ponieważ wzdłuż krajów tureckich i poprzez nie wiedzie droga wodna do Indyj, na które chciwem okiem patrzy Rosya.

Również na samym półwyspie bałkańskim, kolidują interesy i aspiracye poszczególnych państw. Szczególnie Macedonia jest jabłkiem niezgody pomiędzy Serbią, Bułgaryą i Grecyą, a także idea wielkoserbska sięgająca daleko w głąb krajów austryacko-węgierskich budzi obawy interesowanych.

Tak więc zaognienie się ponowne kwestyi bałkańskiej może doprowadzić do bardzo poważnych powikłań i wypadków kwestyonujących pokój europejski. Dla Turcyi zaś może mieć następstwa najfatalniejsze. Nie dziw, że obecnie gazety tureckie dość pesymistycznie zapatrują się na położenie i wzywają rząd do energicznych działań przywodząc mu na pamięć los Polski, podzielonej właśnie w chwili, gdy nadawszy sobie wolnościową konstytucyę raźnemi krokami podążała naprzód drogą odrodzenia.

Tego losu najprawdopodobniej nie uniknie Turcya. Prędzej czy później panowanie jej, w Europie przynajmniej, się skończy. Życzyć tego nawet należy. Lecz nie w tym sensie, by na miejscu jednego najeźdzcy usiadł drugi, lecz tak, aby zabrane przez Turków kraje wróciły pod władanie prawych jej właścicieli t. j. narodów słowiańskich, które tylewiekową, straszną u Turczyna przetrwały niewolę, a jednak nie zwątpiły o przyszłości i o swobodę i prawo swoje walecznie toczyły i toczą boje.

Kolonie wakacyjne.

Zasłużone nasze Towarzystwo kolonij wakacyjnych co rok o te czasy zwraca się z prośbą do ludności mieszkającej na wsi o gościnę dla ubogiej dziatwy poznańskiej, łaknącej zdrowego powietrza, a często i strawy pożywnej.

Niestety co roku znaczna część zgłaszających się dzieci nie może być uwzględniona, gdyż liczba ubiegających się o gościnę znacznie jest większa niż liczba wolnych miejsc.

We wtorkowym numerze „Dziennika Pozn.“ czytamy, że do dnia tego Towarzystwo uzyskało tylko 124 miejsc dla dzieci, a potrzeba ich najmniej pięć razy tyle.

Jeżeli więc w dniach dzielących nas od rozpoczęcia wakacyj podaż bardzo a bardzo się nie ożywi, natenczas setki dzieci poznańskich pozbawione będą dobrodziejstwa spędzenia wakacyj na wsi.

Zwracamy się tedy do szanownych czytelników naszego pisma z usilną prośbą, by, o ile im to tylko możliwe, raczyli pospieszyć Towarzystwu z pomocą i przygarnęli na czas wakacyjny poleconą przez nie dziatwę.

Zgłoszenia należy wysyłać p. adr.: Jan Suchowiak, Poznań, ul. Piotra 7. Obaw o przewleczenie chorób mieć nie potrzeba, gdyż Towarzystwo wysyła tylko dzieci przez lekarzy zbadane i za zdrowe uznane.

Każde o przyszłość swą i rozwój normalny dbałe społeczeństwo winno otaczać młode swe pokolenie jaknajczulszą opieką. A pewną i niezbitą jest prawdą, że najważniejszą podstawą rozwoju normalnego człowieka i społeczeństwa jest zdrowie. Tylko w zdrowem ciele może mieszkać zdrowy duch, uzdolniający człowieka do zwycięskiego zmagania się z wciąż bardziej piętrzącemi się przeciwieństwami życia.

Tymczasem statystyka i doświadczenie wykazują, że ludność wielkomiejska pod względem zdrowotności daleko w tyle pozostaje po za ludnością wiejską. Jedną z najważniejszych przyczyn tego smutnego, lecz prawdziwego stanu rzeczy tworzy zaniedbanie dziatwy wielkomiejskiej pod względem hygienicznym. Brak powietrza, mieszkanie w dusznych oficynach, poddaszach i wilgotnych suterynach, nieracyonalne wskutek drożyzny owoców i nabiału odżywianie.

Litość bierze, gdy się patrzy na tę dziatwę uganiającą się po przesyconych pyłem, ziejących żarem, bijącym od rozpalonych bruków i murów, ulicach. Serce ściska się na widok tych anemicznych i skrofulicznych dzieci, bawiących się w cuchnących podwórcach, otoczonych zewsząd murami, nie dopuszczającemi ani jednego promienia słonecznego, ani jednego powiewu orzeźwiającego wiatru.

Jakie zaś powietrze panuje zazwyczaj wewnątrz tych mieszkań ubogich, to tylko tym wiadoma, którzy niem oddychają. Że w takich warunkach wyrosłe dzieci łatwą się stają pastwą epidemij, jest rzeczą jasną. Jasne i to, że właśnie wśród proletaryatu miejskiego sroży się gruźlica i nie tylko bogate sprząta żniwo, lecz nienarodzone jeszcze pokolenie swym jadem zatruwa.

Jakże szczęśliwi pod tym względem mieszkańcy wsi i małych miasteczek!

Nie ma tam nędznych, wybladłych, ze starczemi twarzami dzieci. Nie patrzą tam z poza szyb smutne, mętne oczy dziecięce. Z rumieńcami na twarzy, z oczyma promieniejącemi radością i zdrowiem buja tam swobodna dziatwa i oddycha pełną piersią zdrowem powietrzem pól i lasów.

Bracie wieśniaku, jeżeli ci Bóg dał jaki taki dobrobyt, jeżeli bez dotkliwej krzywdy dla swoich możesz dać na miesiąc przytułek i łyżkę strawy dziecku cudzemu, uczyń to, a Bóg dobrodziejstwo na własnych ci wynagrodzi dzieciach!...

Kto pragnie piękną pamięć po sobie zostawić,
Musi wiele pracować, a mało się bawić.

* * *

Prawdziwa doskonałość na tem się zasadza,
Aby wszystko porzucić, co cnocie zawadza.

* * *

Niewinność to najdroższa dusz czystych ozdoba,
Niewinność się i Bogu i ludziom podoba.

* * *

Nie zakwitną tam kwiaty, gdzie panuje zima,
Gdzie grzech się rozpanoszył, tam żadnych cnót nie ma.

Bolączki nasze.

Jesteśmy naprawdę nieszczęśliwym narodem.

Nie tylko, że ciąży na nas germanizacyjny i rusyfikacyjny system pod zaborem pruskim i rosyjskim, lecz mamy ponadto jeszcze kilka innych nie załatwionych, a raczej wynurzających się kwestyj wewnętrznych utrudniających niepomiernie walkę z wrogiem zewnętrznym.

W Galicyi trapi nas spór z Rusinami, na Litwie coraz bardziej zaognia się kwestya litewska. Zalew żydowski zaś uwydatniający się tak pod zaborem austryackim jak rosyjskim i uwidoczniający się na całej linii antagonizm polityczny, społeczny, a nawet narodowy tego nienawistnego żywiołu, będącego w Galicyi i Królestwie przednią strażą niemczyzny, na Litwie zaś takąż moskwiczyzny, największych nawet optymistów przejmuje obawą i do obrony przynagla.

Cieszyć się należy, że społeczeństwo polskie ocknęło się z mrzonek asymilacyjnych, że nawet ze strony tych, którzy najwytrwalej stawali po stronie żydostwa, uderzono na alarm, że poznano nareszcie prawdziwą twarz Izraela i istotne jego wobec narodu naszego uczucia i zamiary.

Jakkolwiek jednak sprawa żydowska u nas jest paląca i niebezpieczna, to boleśniejszy bez porównania jest antagonizm rusko-polski i litewsko-polski. Jest on nietylko bolesny, lecz w najwyższej mierze szkodliwy, nie tylko dla rozwoju naszego narodu, lecz także dla interesów Litwinów i Rusinów i wogóle dla rozwiązania pomyślnego całej kwestyi słowiańskiej. Rusinów nienawiść do nas jest zrozumiała do pewnego stopnia. Grzeszyła wobec nich Polska niejednokrotnie w przeszłości. Za grzechy te srodze zemściła się Ruś. Toż Chmielnicki był jednym z gwoździ dla trumny polskiej. Później, po stracie niepodległości, starali się Polacy grzechy dawne naprawić. Niestety. Rząd austryacki baczył, by stare rany się nie zabliźniły. Rzeź galicyjska, to jego dzieło...

Lecz Litwini? Nigdy im Polska nie wyrządziła krzywdy. Przeciwnie. Przyniosła im chrześciańskie, a z niem wyższą kulturę. Przyjęła ich dynastyę na tron swój. W łączności z Polską stała się Litwa wielką, kwitnącą, potężną; stała się najdalej na wschód wysuniętym posterunkiem kultury i cywilizacyi zachodniej. Oba kraje wskazane były na siebie. Obu zagrażała zachłanność niemiecka, Litwie ponadto niebezpieczeństwo moskiewskie w daleko wyższej mierze.

I dziś po tylu wiekach wspólnej doli, wspólnej chwały i wspólnego nieszczęścia, patrzeć musimy, jak to, co historya i opatrzność złączyły i zbratały, rozprzęga się, rozchodzi w nienawiści i gniewie. Gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci się śmieje. Tym trzecim to Rosya.

Gdzie dwóch się kłóci, tam obaj nie mają racyi. Nie tylko po litewskiej, lecz także po polskiej stronie nie brakło w ostatnich czasach błędów i niezręczności, które dolały oliwy do ognia.

Wskazał na to korespondent warszawski „Dziennika Pozn.“, wykazuje świeżo w tem samem piśmie p. Dr. Z. C. na przykładach.

Słusznie radzą obaj autorzy, by Polacy jako kulturalnie starsi starali się być wyrozumiali i względni dla litewskich niezręczności i dodawaniem własnych nie pogarszali położenia. Trzeba się zbliżyć do Litwinów i przekonać ich, że odnosimy się z sympatyą do ich pracy skierowanej do zachowania języka, pogłębienia kultury i samowiedzy narodowej. Sądzimy bowiem, że idea unii polsko-litewskiej nie wymaga od Litwinów zrzeczenia się aspiracyi narodowych litewskich na korzyść polska, lecz krzewienia myśli wspólności politycznej obu narodów. Tej myśli naturalnym wynikiem musi być renesans tych uczuć braterstwa i zaufania, które towarzyszyły kilkowiekowej historyi litewsko-polskiej, a na które w ostatnich latach tak niepożądane padły cienie.

Wiadomo wszakże, że i uczuciami ludów rządzi wzgląd na korzyść. My rozumiemy korzyści płynące z unii. I naszą rzeczą jest Litwinom je uprzytomnić. Nie tyle w słowach wszakże, co w czynach.

Bóg, najwyższy gospodarz, stawił cię na łanie,
Pracuj na nim sumiennie, póki życia stanie.

* * *

Jeśli chcesz miłość zyskać u swego narodu
To poświęć się dla dobra ojczyzny za młodu.

* * *

Polska w poezyi niemieckiej.

...Polens Staatenkörper konnt' man schlachten,
Und sein Volk als unterjocht betrachten,
Doch die Seele Polens, sie blieb frei. —
Gotth. Aug. von Maltitz.

Ciekawa książka leży przed nami. Tom pierwszy zbioru poezyj niemieckich poświęconych Polsce. Wydał ją p. t. „Polenlieder deutscher Dichter“ p. St. Leonhard w Krakowie. Dzieło to wyszło nakładem I. Piaseckiego u W. Poturaskiego w Krakowie-Podgórzu i zawiera oprócz przedmowy wydawcy 161 dłuższych i krótszych poezyj 37 poetów niemieckich.

Jestto tylko drobna część wszystkich t. zw. Polenlieder. Mianowicie te, które się odnoszą do powstania listopadowego. Późniejsze poezye niemieckie znajdą pomieszczenie w zapowiedzianych przez wydawcę dwóch dalszych tomach. Znaczna część ich zginęła lub spoczywa zapomniana w rocznikach czasopism ówczesnych w pyle bibliotecznym.

Przeglądając spis nazwisk autorów owych pieśni, spostrzegamy, że nie było bodaj głośniejszego poety niemieckiego, któryby walczącej o niepodległość Polsce nie był złożył hołdu poetyckiego. Holtei, Chamisso, Geib, Grillparzer, Anastazy Grün, Harro Harring, Lenau, Maltitz, Mosen, Ernest Ortlepp, Pfitzer, Platen, Rogge, Schlinck, Schwab, Tiedge, Uhland, Veit — oto szereg nazwisk znakomitszych poetów opiewających chwałę i nieszczęście Polaków.

Najpłodniejszymi z nich byli: Ortlepp, hr. Platen, Harring, Veit, Rogge, Pfitzer, Lenau, Schlinck. Każdy z nich napisał po kilka, Veit kilkanaście, Platen i Ortlepp po kilkadziesiąt entuzyastycznych Polenlieder. Pieśni te odznaczają się wysokim polotem ducha, entuzyazmem dla walczącego narodu i gorącą miłością wolności i swobody, w imie której Polacy broń podnieśli. Każdą wygraną bitwę opiewano emfatycznemi dytyrambami, każdą klęskę opłakiwano gorącemi łzami. Wzywano ludy i rządy europejskie do ujęcia się za walczącym bohatersko o wolność narodem i rzucano gromy potępienia na głowy panujących i ich doradców, którzy zezwolili przemocy zatry-

umfować nad prawem i słusznością. Stawiano Polaków za przykład własnemu narodowi i wielbiono walkę polską jako czyn przedsięwzięty w imię wolności powszechnej, w imię godności ludzkości całej, której losy jakoby od wyniku tej walki zawisły.

Dziwne uczucie ogarnia człowieka przy czytaniu tych jedynych w swoim rodzaju poezyj. I żal ściska za serce, jeżeli się pomyśli, że ten sam naród, który 80, a nawet jeszcze 50 lat wstecz z takiem uniesieniem śpiewał i odczytywał pieśni polskie, apoteozował bohaterów polskich i czyny waleczne narodu uwielbiał, dziś z równym zapałem woła „ukrzyżuj“ jak ongiś śpiewał „hosanna“.

Wuchernd mit dem Schwert der Unterthanen,
Hatte listig man, wie euch Germanen,
Und doch thöricht, wie's noch nie geschah,
Wider Ehre, Klugheit und Gewissen
Polens heimatliches Erb zerrissen,
Und doch blieb Polen — ewig da. —

Hatte, um den Geist des Volks zu lähmen,
Selbst versucht die Keime ihm zu nehmen:
Sitte und Gebräuche, fern und nah'.
Und sogar, zu festerem Umstricken,
Sich bemüht, die Sprache zu ersticken;
Dennoch lebte stets Polonia. —

Sehet Deutsche! Und fühlt gleiche Triebe!
Seht! dies nennt man Vaterlandesliebe.
Seht es trauernd, ach! zu eig'nem Leid!
Lernt von den Sarmaten, Deutsche werden!
Und ihr heisst das erste Volk auf Erden,
Wo ihr jetzt beinah' das letzte seid. —

Oto, jakie słowa padały z ust poetów. Dziś zapomniane to pieśni. Co ongiś zapalało entuzyazm w sercach niemieckich, co stroiło do wzniosłej pieśni patryotycznej bardów niemieckich, dzisiaj tylko nienawiść i pogardę budzi i do prześladowania zachęca. Umilkły pieśni poetów-entuzyastów. Dzisiejsi pisarze, jeżeli wspomną o Polsce i Polakach, to z pianą wściekłości na wargach, a istnieje cała literatura, nie mówiąc o politycznej, która zohydzanie wszystkiego, co polskie za wyłączne niemal zadanie swe uważa.

Czy my, Polacy, winniśmy tej metamorfozie? Czyż wyzbyliśmy się tych ideałów, dla których ojcowie i dziadowie nasi krew przelewali, czy mniej od nich kochamy wolność i ojczyznę? Czy też naród niemiecki zeszedł z tych górnych szlaków, jakimi go widział świat kroczącego za wielkiej ery wojen wolnościowych, za czasów walk o swobodę obywatelską, zrzucającego jarzmo niegodne tyranów? My zostaliśmy wierni sobie i wielkiej swej przeszłości. Lecz naród niemiecki posiadłszy szczęśliwie to, o co walczyli jego ojcowie, dziś, wytuczony w dobrobycie, odwrócił się od idealizmu przodków swoich i depce nogami u innych te uczucia, które kilkadziesiąt lat wstecz uwielbiał i za przykład sobie stawiał.

Zaiste, dumą narodu niemieckiego powinny być owe Polenlieder, tchnące najwznioślejszemi uczuciami, miłością wolności i słuszności, poszanowaniem odwiecznego prawa, które Bóg w sercu ludzkiem wypisał. Tymczasem większość obecnej generacyi Niemców z uśmiechem politowania odczytywać będzie zapalne pieśni polskie swych poetów. Materyalistyczne i hakatystyczne społeczeństwo obecne ani ich nie odczuje, ani zrozumie. Bo jakżeż może się przejąć zmateryalizowany Niemiec tegoczesny poezyą apoteozującą słuszność i prawo, skoro go nauczono, że najwyższem prawem brutalna siła pięści, która rzuciła naszą sprawę między potępione...

A jednak życzyć należy, by zebrane przez St. Leonharda poezye doszły rąk Niemców. Dzisiajsza generacya nie zna ich wcale, bodaj domyśla się ich istnienia. Dobrze będzie, jeżeli dowiedzą się, co o Polakach i sprawie polskiej myślały najwznioślejsze duchy niemiec... Większość wyśmieje i wyszydzi, może i pieśni i ich autorów; lecz znajdą się dusze szlachetne, które zelektryzowane bijącą od nich siłą, ulegną urokowi wielkiego narodu, i nie odmówią współczucia zapasom, w których zmagamy się od wieku, ufni w odwieczną sprawiedliwość Bożą.

Dla nas Polaków zaś niechaj książka ta będzie podnietą do dalszej pracy i do dalszej walki, nowym dowodem, że słuszną musi być sprawa nasza, skoro tak gorących i zapalonych pozyskała zwolenników wśród obcych nawet. Niechaj ukrzepi dumę naszą narodową i przypomni, że były czasy, iż w Niemczech nawet mówiono i pisano o nas z najwyższem uwielbieniem. I lubo bismarkizm i hakatyzm późniejszy potrafił uczucia te w sercach niemieckich wyplenić niemal doszczętnie, to jednak późniejsze zbłąkania sumienia niemieckiego nie zmienią faktu, że kiedyś sądzono nas sprawiedliwie i że sąd ten najwyższy nam przynosi zaszczyt.

Niechaj książka ta w górę podnosi serca polskie.

„Gedenk' dass abwägt,
Alles die Zeit, im Reich
Des Ew'gen nie obsiegte des
Schwertes Gewalt,
Was fromm gesät ward, schön
einst aufblüht,
Richten wir hoffend den Blick
zur Zukunft.
Fr. With. Rogge.

Jubileusz Maryi Rodziewiczówny.

Oto dwadzieścia pięć lat minęło od rozpoczęcia pracy pisarskiej Maryi Rodziewiczówny, pracy, która dla piśmiennictwa naszego piękne wydała plony. Chociaż nie sięga ona wyżyn Orzeszkowej, jednakże celniejsze miejsce zajmuje w szeregu autorek.

Gdy w r. 1889 wydała powieść swą „Dewajtis,“ odrazu zyskała uznanie należne. Zrozumiano i uznano ten piękny symbol mocy i wytrwałości narodu.

Uwieńczono tę powieść nagrodą na konkursie literackim „Kuryera Warszawskiego“ i nie masz prawie serca, którego by nie zjednała tem ukochaniem ideału narodowego.

Bohater tej powieści Litwin, wrosły w ziemię jak dąb olbrzym, pokonuje wszystkie trudności, wyrzeka się wszelkiego osobistego szczęścia, by tylko utrzymać tę ziemię ukochaną nad wszystko. Natura silna, która trud i obowiązek najcięższy bez wahania spełnia, i która hartuje się jak stal w ogniu w ciosach życia. Jednego ciosu ten dąb olbrzym znieść by nie mógł — rozłąki z ziemią, w której zapuścił korzenie, z której czerpie żywotne soki.

Tę zasadę utrzymania prastarej spuścizny naszej, tej ziemi odziedziczonej po przodkach zaznaczyła autorka w wielu z swych licznych powieści.

I w „Szarym Prochu“ zniemczały na pół Litwin Australczyk, patrzący na szary proch z politowaniem, budzi się jako wierny syn ojczyzny.

Szary proch przykuwa go do siebie nierozerwalnym łańcuchem. Nie wraca już za morze, lecz pozostaje między swymi, obudziło się w nim uczucie przynależności, poświęcenia i ofiarności, i będzie przykładem dla drugich.

Najlepsze powieści jej, to właśnie oparte na tle wytrwałej pracy na ni-

wie ojczystej, zrosła z temi ugorami, temi polami i zagrodami litewskiemi.

Pełne poezyi i posępnego czaru są jej nowelki z cyklu „z Głuszy.“

„Hrywda,“ w której opisuje dolę ludu wiejskiego, łącząc pełne piękności opisy przyrody, należy do jej lepszych dzieł.

Wieś litewska to jej dziedzina właściwa.

Tam grusza daje cień po znojnej pracy, tam przynoszą wiatry wspomnienia narodu, tam odzywa się pieśń ludowa serdeczną skargą, tam po starych cmentarzach błądzą duchy niewidne, tam śpiewa skowronek pieśń swoją dziękczynną, tam zejdzie ziarno siewu Bogu na chwałę, ludziom na pożytek.

Na tej dziedzinie, na tem tle Rodziewiczówna jest sobą.

Tak jak opisuje w swych powieściach, tak ukochała ona w rzeczywistości swój rodzinny majątek, uratowała od ruiny, pracowała niezłomnie.

Więc nie słowem tylko głosiła, lecz czynem dowiodła miłości ziemi rodzinnej.

W powieściach jej „Ona,“ „Róża Jerychońska“, „Klejnot“ itd. przebijają te hasła. Obok mężczyzn stojących wytrwale i hardo na swych zagrożonych placówkach maluje nam kobiety, pełne miłości cichej, zrezygnowanej, a w końcu zwyciężającej.

Nie jest Rodziewiczówna zwolenniczką zbytniej wolności i wyzwolenia kobiet. Uwielbia dawne cnoty i tradycye; kobiety mają strzedz domowego ogniska i być wiernemi towarzyszkami mężczyzn.

Mniej udatne są powieści Rodziewiczówny, gdy wkracza w progi wielkopańskie jak w „Błękitnych“ w „Magnacie“ i „Kwiecie Lotosu“, razi nas tam pewna przesada i brak rzeczywistości.

Marya Rodziewiczówna tworzy z łatwością i pisze nadzwyczaj wiele.

Przytaczam ustęp z jej najświeższej powieści „Atmy“, gdyż zawiera on niejako wyznanie wiary powieściopisarki, cel jej życia.

„Kochałem tę ziemię całem stopniowaniem uczuć: zrazu najciaśniej: dla siebie i rodu; potem szerzej: dla ojczyzny; teraz ją kocham dla niej samej, dla jej duszy, którą rozumiem, czuję, z którą się zrosłem przez wspólne cierpienie. Deby, co stoją, wiedzą jakem cierpiał, gdym z potrzeby, z biedy, musiał niektóre ściąć i sprzedać. Grusze polne po miedzach wiedzą i pamiętają te grady, któreśmy wspólnie znieśli, na zburzone zboże patrząc i te szrony szkodliwe, i te susze zgubne i te nawałnice deszczowe w żniwa.

Pamiętają bociany i te pożary gumien parokrotne i dźwiganie nowych dachów z popiołów. Pamiętają moje pracowite woły głodne przednówki i rozumieją moją o siebie troskę. Zna mnie każdy zalew jeziora i każdy zakąt sianożęci i ja je znam.

Teraz takeśmy z tą ziemią jedno, że nie wiem czy ona jest moja, czy ja jestem jej.“



Marya Rodziewiczówna.

Duch obywatelski, miłość ziemi wieje z tych słów. Z koła ziemianek w Królestwie wyszła myśl złożenia czci i hołdu utalentowanej i zasłużonej powieściopisarce w dwudziestopięciolecie jej pracy i działalności.

Myśl ta odbiła się sympatycznem echem i w naszej dzielnicy. Towarzystwo Czytelni dla kobiet postanowiło w porozumieniu z towarzystwami oświatowemi złączyć się w uczczeniu zasług i wyrażeniu życzeń w obchodzie jubileuszowym.

Sońka,

Parafraza.

Ojcze nasz! z łez padołu wołamy do
Ciebie
Daj, by Twego Imienia moc myśmy po-
znali
I niech królewskość prawdy w nas
ogień zapali
Wielkiej miłości bratniej, zapomnienia
siebie.

Niech harmonia strzegąca szlaków
gwiazd na niebie,
Zbrodnie krwawe, bunt ducha z po-
śród nas oddali,
Daj, byśmy wierni światłu dnia klęski
wytrwali
Pracując, by chleb wyrósł na ojczystej
glebie,

— Chleb dla duszy i ciała. O Panie,
niech rodzą
Serca czyny szlachetne, łany złoto zbóż,
Niech nas górne tęsknoty od nizin od-
wodzą. —

Przebacz! i czystej woli jasną moc w
nas twórz,
Broń nas, gdy siły ciemnej pociski w
nas godzą
— Rzeknij słowo, a zcichnie nawalność
złych burz.

Impol.

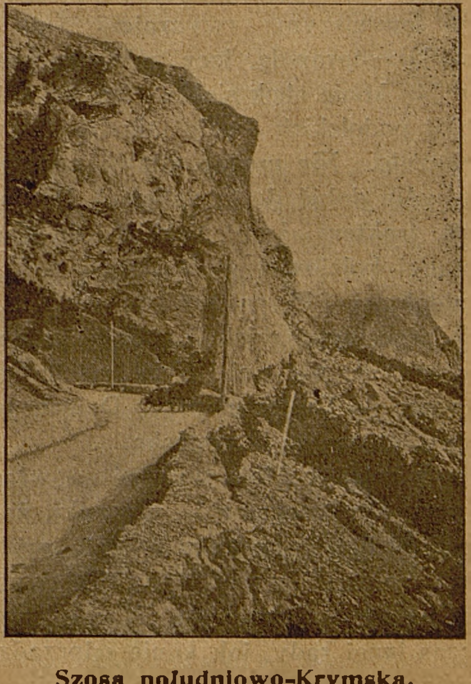
Dr. Stanisław Łabendziński.

Wycieczka gimnazyalna na Krym.

(Ciąg dalszy).

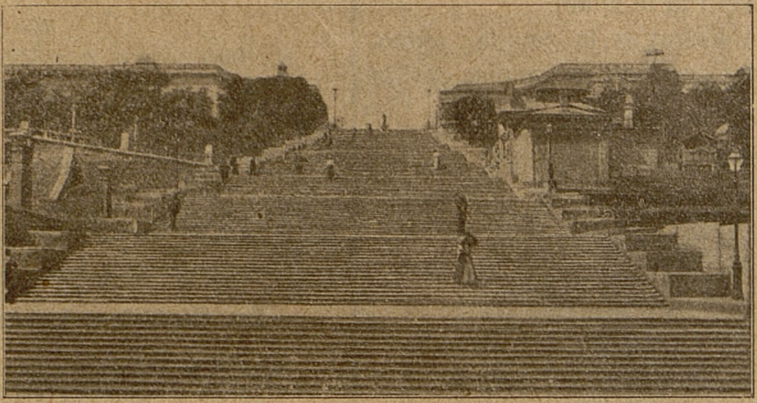
Tymczasem losy nieobliczalne inaczej zrządziły. Deszcze ostatnich dni spowodowały olbrzymie roztopy, którym podobnych niema chyba nigdzie drugich, błota bowiem powstałe z tłustego, podolskiego czarnoziemu mają sławę ustaloną i są rzeczywiście bez konkurencyi. Brnęliśmy jednak w nich śmiało, mimo, że obuwie nasze, oblepione płatami lepkiej czarnej masy, stawało się coraz cięższe i nogi niebawem posłuszeństwa odmawiać nam poczęły. Na domiar złego deszcz ponownie siec począł i przemaczać nas do ostatniej suchej nitki, trzeba więc było po kilkugodzinnym marszu, uszedłszy zaledwie 2 mile od granicy, pomyśleć we wsi Rudzie o wypoczynku i naradzić się nad możliwością i sposobem dotarcia do pierwszej stacyi stałej żeglugi.

Dociekanie w pamięci krewniaków na Podolu rosyjskiem okazało się złu-



Szosa południowo-Krymska.

dnem przedsięwzięciem kolegi Ł., skoligaconego zresztą z wszystkimi ziomkami wyznającymi wiarę chrześcijańską, a częściowo i mahometańską (stanowczo bowiem obstawał przy twierdzeniu, że nawet na Krymie potomków zabranych w jasyr, praszczurów jego, odnaleźć powinniśmy), lecz chytra ta-



Słynne tarasy w Odesie. Wejście z portu do miasta.

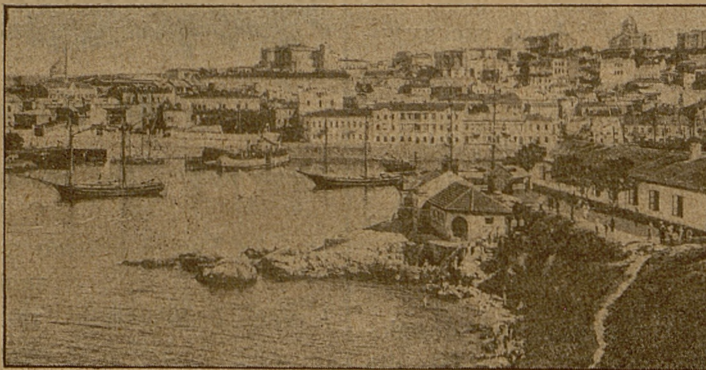
ktyka wzbudzania litości na widok 14-letnich zziębniętych i przemoczonych chłopców, okazała się i w tym przypadku odpowiednia. Zacni właściciele majątku Ruda, pp. Żebrowscy przyjęli nas i podejmowali z otwartemi rękoma, a chwile spędzone w ich staropolskiej siedzibie pozostaną nam na zawsze w pamięci.

Najście nasze ich domu równało się zupełnie najazdowi, lecz wrodzona polska gościnność, nie pytając o krewieństwo lub koligacye, nie pozwoliła przezacnym naszym gospodarzom odmówić gościom, dziwnym zbiegiem okoliczności nadesłanym, przytułku. Poraz drugi więc tego samego dnia korzystaliśmy z gościny zacnego naszego obywatelstwa wiejskiego, którym choć w ten sposób wdzięczność naszą obecnie wyrażamy. Zabawiwszy w gościnnym domu jeszcze następnego dnia do południa, opuściliśmy znów Rudę trzema podwodami, zaprzężonemi tamtejszym zwyczajem (nie dla szyku coprawda, lecz z konieczności) w 4 konie obok siebie, co się wobec błot podolskich wcale jako zbytek nie okazało. Nie mogąc wobec roztopów wogóle dobić do Studzienicy, jechaliśmy traktem kamienieckim do Łargi, stacyi kolejowej w Besarabii o 5 mil oddalonej. Przestrzeń tę ujechaliśmy w przeciągu jakich 7 godzin, przeprawiając się we wsi Ujściu (ujście Smotrycza do Dniestru) przez Dniestr promem na stronę besarabską.

Trzeba te błota widzieć na własne oczy, aby zrozumieć wypadki, że w pośród drogi naraz wóz staje w lepkiej kałuży i wszelkie wysiłki wyciągania go są daremne. Niema wtenczas innej rady, jak konie odprządz, a wóz swojemu pozostawić losowi. Jeśli to się stanie późną jesienią, wtenczas w zimie dopiero odrębywać można nieszczęsny wehikuł, a przy wiosennych roztopach odczekać trzeba pory suchej! Za przestrzeń z Kamieńca do Łargi (7 mil) żądają żydzi-dorożkarze wtenczas od osoby za przejazd bywa po 100 rubli (220 mk.) i otrzymują je, lecz kto widział faeton taki, podobny do jednej bryły błota, przy którym każde koło jedną nieprzerwaną taflę okręgłą lepkiej i czarnej tej tworzy masy, a konie dosłownie po uszy są w błocie zanurzone, ten ci dopiero zrozumie całą ohydę stosunków komunikacyjnych stolicy Podola należycie. My, acz z trudnością wielką, lecz szczęśliwie, dobiwszy się do stacyi kolejowej o północy (pocieszając się myślą, że mogło być gorzej,) wyruszyliśmy nocnym pociągiem do Mohilowa, skąd po Dniestrze mieliśmy się puścić w dalszą drogę ku morzu.

O ile stosunki dróg zwykłych są w Rosyi na ogół ohydne, o tyle wygody w urządzeniach kolejowych mogą innym krajom służyć za przykład. Nietylko, że wagony bywają wygodniejsze z powodu szerszego o 10 cm. toru (a więc i szerszej przestrzeni wagonu), lecz i resory są tak znakomite, że nie trzęsą zupełnie i nawet w wagonie trzeciej klasy przespać się można wygodnie. Prawda, że dla olbrzymich odległości w państwie rosyjskiem szczegół ten jest nietylko bardzo ważny, ale wprost konieczny, gdyż podróż np. do stolicy kraju trwa z jakiegobądź zakątka olbrzymiego terytoryum po 2 lub 3 doby. To też i nasi wycieczkowcy, spróbowawszy raz wygodnego noclegu na wygodnej pryczy, choć tylko z prostej deski ze ściany, na noc wysuwanej (przyczem tobołek wraz z zawartością jego stanowił poduszkę, a peleryna przykrycie), korzystali odtąd, ile się dało, z pociągów nocnych nietylko dla zyskania na czasie i monecie, lecz i dla rzeczywistej wygody. Odpocząwszy więc po trudach przeprawy przez błota podolskie w wygodnym wagonie, stanęliśmy rano w Mohilowie, nieco, lecz „nie bardzo podłem mieście“, nad Dniestrem pięknie położonem. Stara to i historycznie ciekawa miejscowość, za polskich czasów bardzo handlowa, przeważnie przez Greków i Ormian ongiś zamieszkała. Główna ulica, do dziś Grecką zwana, ozdobiona jest małymi, nędznymi, lecz starożytnymi domkami z kamienia o ciekawych głębokich piwnicach, służących dziś jeszcze na przechowywanie wina i innych towarów. Brud jednak i niechlujstwo tu wielkie, bruki — o ile są — w okropnym stanie, a psów pożerających resztki, rzucane na ulicę, mnóstwo się wszędzie uwija. Wszystko tu biedne i smętne, nawet kościół katolicki wiekiem pochylony, zdaje się wspominać o nieszczęśliwych a jednak [illegible] szych od obecnych dawnych czasach.

Od Mohylowa rozpoczęła się teraz jedna z najpiękniejszych części naszej podróży, płynęliśmy bowiem parowcem stąd do Rybnicy, miasteczka, leżącego już tylko o kilka mil od Jaorlika, granicy Rzeczypospolitej z przed rozbiorów, tj. r. 1772. Sam fakt istnienia stałej żeglugi na Dniestrze od Studzie-



Widok portu od morza w Sebastopolu.

nicy i Mohylowa aż do morza Czarnego (Akkermanu) mało nam jest znany, ale też Baedeker nie wspomina o tem ani jednem słowem! A jednak warto o tem wiedzieć, gdyż Dniestr na tej przestrzeni, płynąc jarem głębokim i bezustanne tworząc zakręty koliste (serpentyny), nie ustępuje w tym względzie

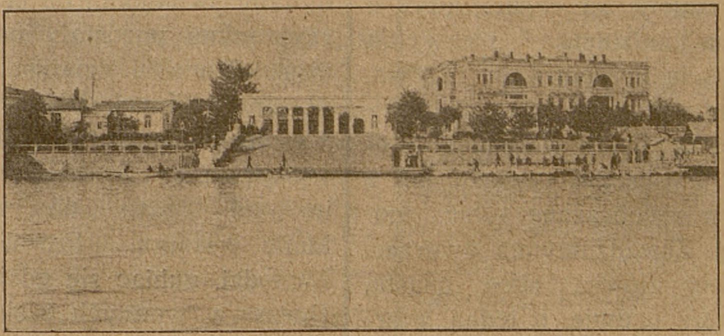
Mozeli i nie tylko dorównywa krajobrazom nadreńskim, lecz je pod względem ich wspaniałości przyrodniczej bezwątpienia przewyższa. A dodajmy do tego, że przecudna pogoda, pierwszy stały uśmiech wiosny towarzyszy nam odtąd bez przerwy, a zrozumieć łatwo błogi stan naszej duszy, rozkoszującej się w zapoznanych cudach naszej przyrody.

Płyniemy dość szybko, stojąc bez przerwy przez kilka godzin na pokładzie wygodnego statku, który opuszczamy tylko na chwilę, aby w bufecie popłukać kęs chleba, kiełbasy lub innych smakołyków z niespożytych jeszcze zapasów lwowskich, lub świeżo w Mohylowie nabytych, „stakanem czaju“ o potem natychmiast znów znaleźć się na pokładzie. Lecz jeśli już oko każdego przyjaciela pięknej przyrody nie dosyć napatrzeć się może na brzegi malownicze, przeważnie strome, często zalesione, a nigdy nie jednostajne, to przyrodnika wprost porywa krajobraz swoją różnorodnością.

Lewy brzeg bez przerwy wysoki i stromy, widać pokłady piaskowców kredowych lub mioceńskich, wyraźnie uławicone zupełnie poziome; przez wodę wypreparowany jar tworzy z natury wspaniałą dla żeglugi drogę, której jedyną zaporę, porohy pod Jampolem, także już dawno siłą usunięto. Woda jest względnie czysta i rzeczywiście stanowi Dniestr, pozostawiwszy małą swą ilość mułu już w górnym swym biegu na obszarze Galicyi, najlepiej przez przyrodę uposażoną drogę komunikacyjną wodną na ziemiach polskich.

Pyszny jest widok na żleby, tworzące się w naszych oczach od górnej krawędzi jaru po stoku w dół, świadkowie potężnej siły erozyjnej wody. Drzewostan nieco odmienny już od naszego, napotykamy wiele topoli włoskiej, srebrnej, dziwnie smukłej i urodnej. Wiklina nadbrzeżna nosi na otartej korze wyraźne ślady przesuwających się tu niedawno olbrzymich zwałów lodów rzecznych, których szczątki niestajałe napotykamy zresztą często jeszcze nad brzegiem. Lecz otóż i nowa niespodzianka! W korycie rzeki ukazują się wyspy, zazwyczaj pięknie zalesione, zielone i uśmiechnięte! Nie tylko na nas oddziaływa wesoło ten czarujący kąt kraju, lecz i ptaki liczne towarzyszą nam chyżo, to jak kaczki, lecąc tylko na krótki odstęp i znów na wodę opadając, to znów wznosząc się wysoko w przestworze i jakby nieruchomo się nad nami unosząc. Są to potężne orłykanie i inne drapieżniki, dla których bujne gęstwiny naddniestrzańskie są, jak widać, ulubionem i wdzięcznem polem do łowów i najbezpieczniejszą kryjówką. Niebawem za Jampolem podziwiamy olbrzymie masy granitowe, sterczące z pośród łożyska rzeki; jest to miejsce dawniejszych porohów.

Aparaty nasze fotograficzne gorączkowo pracują, aż oto otwiera się przed nami wspaniała, nieporównana panorama na miasteczko Soroki, amfiteatralnie na prawym (mołdawskim) brzegu Dniestru położone. Zdaleka już wita nas stara baszta turecka, na której dostrzegamy nawet ślady polskiego Orła i Pogoni. Tu cel naszej podróży na dziś; niechętnie schodzimy na ląd, aby przenocować w miasteczku, pocieszamy się jednak tem, że nazajutrz znów około 10 godzin popłyniemy przez dalszy jar bodaj jeszcze piękniejszy. I rzeczywiście, oczekiwania nasze w dalszej drodze najzupełniej się spełniły. Do czarującego już dotąd krajobrazu dochodzą teraz jeszcze winnice, pod których uprawę wzięte tu są już wszystkie północne stoki, ku południowi nachylone.



„Grafska przystań“ w Sebastopolu.

O ile wsie same nędzny przedstawiają widok (besarabskie, czyli mołdawskie są porządniejsze, aniżeli podolskie), to uprawa wina z konieczności wszędzie wykazuje należyty ład i porządek, a więc i dla oka okolice te tem przyjemniejszą stanowią przynętę. Coprawda powinien jar dniestrowy na całej swej rozciągłości od Mohilewa do morza z powodu wyjątkowo korzystnych warunków klimatycznych stanowić jeden nieprzerwany sad, lecz niestety, jak dotąd, jest tu wzorowych przedsiębiorstw sadowniczych jeszcze mało: najpiękniejszą, choć młodą, taką oazę drzewną napotkaliśmy pod wsią Kośnicą. Lecz i teraz co chwilę krajobraz się zmienia, to ukazują się strome ściany żółtoziemu (lesu), dochodzące do samej rzeki, to znów występują wyspy z wody w pośród morza zieleni wokoło.

Dojeżdżamy do miasteczka Kamionki. Tu znów winnice rozległe, własność Wittgensteinów. W dalszej drodze znów oryginalne widowisko zdumionym przedstawia się oczom: mieszkania wykute w skale, niezamieszkałe dziś wprawdzie (miejscami tylko, szczególnie w dolnym biegu rzeki, przez mnichów prawosławnych), lecz napewno służące dawniej za kryjówki dla mieszkańców podczas napadów tatarskich i tureckich. Jakież tu wogóle obfite pole działalności czeka jeszcze nie tylko na przyrodnika, lecz i archeologa i geografa. A rzeczywiście byłaby szkoda, gdyby polskich uczonych ubiedz mieli w badaniach obcy, choćby nawet rosyjscy.

Ale otóż i dojeżdżamy do historycznego Raszkowa, ukazują się wysokie, ponad 100 metrów strome skały, do których przyczepione leży starożytne miasteczko. Należy ono wraz z olbrzymiemi okolicznemi włościami do Jurewicza, Polaka, ktory sobie o kilkanaście wiorst dalej, również na zupełnie stromej, ogromnej skale, zbudował przepyszny pałac, przenoszący nas w tej chwili w myśli gdzieś nad Ren lub Mozelę. We wsi Sokoły ukazują się znów sztucznie w skale przez ludzi wyżłobione lochy, a poziome dotąd warstwy skał (przeważnie wapienia), wykazują po raz pierwszy wyraźne dyslokacye (wygięcia). Wreszcie o 5 godzinie pod wieczór dobijamy do celu, miasteczka Reziny, leżącego naprzeciw Rybnicy, dokąd dostajemy się po moście kolejowym, niespełna pół wiorsty długim, i skąd na noc wyruszamy do Odessy.

Jedziemy krainą, która w r. 1772 tworzyła już kresy polskie i wkraczamy na terytoryum dawnego stepu, sięgającego aż do morza, która to prowincya nosi obecnie nazwę Nowej Rosyi, a składa się z gubernii besarabskiej, jekaterynosławskiej, taurydzkiej i chersońskiej. Ostatniej stolicą jest Odessa, miasto półmilionowe, zupełnie nowożytne, handlowe, ruchliwe a piękne, największy port nad morzem Czarnem.

Zbliżając się rychłym rankiem do miasta, podziwiamy z pociągu bezleśny kraj, dziś już wszędzie pod uprawę wzięty. Zaledwie nad torem hodują nę-

dzne akacye, a zresztą, jak okiem sięgnąć, bezdrzewna rozpościera się płaszczyzna przed okiem naszem. Nawet słupy telegraficzne stawiają tu żelazne, w piecach zaś palą słomą. Lecz upragnionego widoku morza dostrzedz nie możemy; właśnie rozległa Odessa z daczami (wilami) swemi, przy których największą ozdobą są cenne, gdyż z niesłychanym mozołem i niezwykłą pieczołowitością wyhodowane drzewa, zasłania nam widok na tyle wyczekiwane przez nas i bujnie w każdego wycieczkowca wyobraźni tylekroć już z upragnieniem wyobrażane sobie morze zupełnie. Zajeżdżamy na dworzec, wkraczamy na główną ulicę miasta, znajdujemy się o dwie, o jedną wiorstę, nareszcie o kilkaset już tylko kroków od morza, a morza, upragnionego celu naszego, nie widać.

Ponieważ jednak łatwiej pocieszyć nadzieją stęsknioną duszę, niżeli mdlejące ciało, wstępujemy po drodze do jednej z polskich mleczarń i pokrzepiamy nasamprzód siły fizyczne, a zaopatrzywszy tobołki w świeże prowianty, aparaty fotograficzne w nowe filmy i powysyławszy naprędce mnóstwo widokówek morza, którego powiew czujemy, a którego widok ciągle jeszcze zazdrośnie wobec nas zasłonięty, pędzimy do portu i stajemy nad słynnemi schodami stukilkudziesięciostopniowemi i jeden okrzyk radości i podziwu wydobywa się z piersi naszej. Tuż pod stopami mamy wodę, wodę bezbrzeżną, tak, to morze, talasa! Jakżeż Grecy je witać musieli, kiedy my, mieszkańcy śródlądu, którzy przez całe życie bez widoku jego się obywamy, stanęliśmy jakby wryci z podziwu i radości, zupełnie jakgdybyśmy odnaleźli dobrze nam oddawna znanego towarzysza i przyjaciela.

Zaiste, dziwny urok i pociąg ku sobie wywiera na człowieka ogrom nieskończonej przestrzeni wodnej, nic też dziwnego, że zapomnieliśmy zupełnie o zwiedzaniu miasta, i szczęśliwi i zadowoleni czuliśmy się zupełnie, gdyśmy się spostrzegli na pokładzie wielkiego parowca morskiego „Aleksander", który już za godzinę miał nas powieść do właściwego celu naszej wyprawy, Krymu. Jak ongiś Grecy do Kolchidy po złote wyprawiali się runo i gdzieś go na Taurydzie czyli Krymie szukali, tak i nas tam dotąd coś teraz parło ze zdwojoną siłą. Wyruszyliśmy przy zupełnie spokojnem, niemal jak tafla szkła czystem i równem morzu, lecz tak jak za czasów greckich, tak i obecnie stosunki atmosferyczne bywają tu nieobliczalne i pontos euksinos, „gościnne" tylko w eufemistycznem znaczeniu morze, miało i nam przed dojazdem do celu naszego, Jałty, niemile dać się we znaki. Na razie jednak cieszyliśmy się słońcem, orzeźwiającem powietrzem i nieporównanym widokiem na amfiteatralnie przed nami położone, a coraz więcej oku naszemu znikające miasto.

Wpłynęliśmy na pełne morze i jedynymi świadkami od lądu nam towarzyszącymi pozostały odtąd na przeciąg kilkunastu godzin tylko mewy potężne o silnych dzióbach, za statkiem wesoło i niezmordowanie szybujące, wypatrujące żeru kęs, porzucanego im od czasu do czasu z pokładu statku. Powoli i słońce zachodzi, gubiąc się gdzieś ... Odesy w wodnych czeluściach, a my jeszcze stoimy na pokładzie, gdyż żal nam rozstawać się z czarem morza, działającego coraz to silniej jeszcze na naszą wyobraźnię. Lecz nietylko potrzeba wypoczynku, ale i dotkliwy chłód zmusza nas niebawem do zejścia w kajuty.

Nazajutrz wita nas wschodzace słońce już na pokładzie, okręt stoi nieruchomo w miejscu, spostrzegamy po raz pierwszy ziemię obiecaną, to Krym, a przed nami pierwsza jej na drodze naszej osada, Eupatorya, witająca nas miłym swym wyglądem, czysto już oryentalnym. Odtąd płyniemy w kierunku południowym ciągle nad płaskiem wybrzeżem do Sebastopola, portu wojennego, dokąd przybywamy około południa. Z daleka majaczy przed nami pasmo Jaiły z potężnym Czatyrdagiem. Zawijamy do portu, zbudowanego nad silnie ufortyfikowanymi brzegami głęboko w kilku ramionach w ląd wrzynającego się morza. Przejeżdżamy obok licznych okrętów wojennych, fortów i mnóstwa mniejszych statków, a przed nami roztacza się znów rozkoszny widok na amfiteatralnie wznoszący się gród.

Mając 4 godziny czasu zwiedzamy Sebastopol, udając się do muzeum historycznego, przechowującego z wielkim pietyzmem pamiątki z wojny krymskiej i do akwaryum. A potem na pokład, gdyż silny wiatr nagle — jak zwykle — się tu zrywający, niezbyt przyjemnym czyni pobyt na ulicach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przez ciasną bramę nieba żaden przejść nie zdoła,
Kto pokornie wprzód swego nie pochyli czoła.

* * *

Są ludzie nawet dobrzy, co dlatego błądzą,
Że zamiast dobra kraju, stronnictwem się rządzą.

Wolność języka polskiego a akademicy.

We „Filarecie", zeszycie czerwcowym, czytamy, co następuje:

Jaką wolnością cieszy się język polski u akademików pod rządem pruskim, o tem niech poświadczy następujący fakt:

W czasie mych studyj wybrałem się na semestr latowy 1911 do Berlina. Po wynajęciu mieszkania, załatwieniu immatrykulacyi i zapisaniu prelekcyj, począłem uczęszczać regularnie na wykłady. Naraz otrzymuję pewnego dnia piśmienne zawezwanie, że mam się stawić w czwartek hora 12. s. t. do sędziego uniwersyteckiego. Moje zdziwienie wzrosło, usłyszawszy od kolegów Polaków, iż oni zarówno jak i ja zostali zawezwani: jedni o 11, drudzy o 12, inni nawet o pół do 1. Zapewne obawiali się Niemcy zaburzenia lub demonstracyi ze strony Polonii. Lecz wracam do rzeczy. Termin mój oznaczony nadszedł; udaję się do wskazanego biura, muszę czekać, bo sędzia zajęty. Dopiero po upływie trzech kwadransy otwierają się podwoje i sędzia raczy prosić. Każdy z nas wchodzi z bijącem sercem, bo nie wie absolutnie co to wszystko ma znaczyć, tem więcej, że sędzia zazwyczaj wzywa tylko tych, co przekroczyli jakiś przepis policyjny lub uniwersytecki. Sędzia bardzo uprzejmie zapytuje nas czy jesteśmy wszyscy Polakami. Otrzymawszy odpowiedź potakującą, zwraca naszą uwagę na to, iż ministeryum oświaty wydało nowe rozporządzenie, na mocy którego nie wolno studentom Polakom z całego zaboru pruskiego należeć do polskich towarzystw i udzielać lekcyi języka polskiego pod karą wydalenia z uniwersytetu i niedopuszczenia do jakiegobądź egzaminu. W miejsce przysięgi musieliśmy się piśmiennie zobowiązać, iż zakazu nie przekroczymy.

Zawezwani zostali po kolei wszyscy studenci Polacy w Berlinie z wyjątkiem może dwóch lub trzech, którzy nie mają nazwiska na —ski tylko na —er lub mann, — zapewne sędzia miał ich za Niemców. Na zakończenie pocieszył nas sędzia słowami: „Selbstverstaendlich, koennen Sie zu Ihrer Bruderschaft angehoeren, das kann Ihnen kein Mensch verbieten". Mówiąc o „Bruderschaft" miał na myśli Kasę Bratniej Pomocy, której zabawa latowa odbędzie się 17-go bm. w Alte Fischerhütte pod Berlinem.

Berlin, 6. 6. 1911. *Studens Nemo.*

Od Redakcyi: Otóż nowy dowód równouprawnienia. Podczas gdy stu-

denci niemieckiej narodowości bez przeszkód mogą należeć do towarzystw politycznych, i z tego prawa obficie korzystają jak uczy przykład grup studenckich Schulfereinu, Ostmarkenfereinu, związku wszechniemieckiego i tylu innych szowinistycznych stowarzyszeń, nie licząc wcale korporacyj ściśle studenckich — to od akademików Polaków odbiera się przysięgi, w których się muszą wyrzec, pod grozą najdotkliwszych kar i zniszczenia całej przyszłości, praw przysługujących im jako obywatelom państwa na mocy konstytucyi i ustaw państwowych.

Zaiste, piękna to wolność akademicka, wolność obywatelska w państwie prawa, bojaźni Bożej i dobrych obyczajów!

A cóż dopiero powiedzieć o zakazie udzielania nauki języka polskiego?

Sędzia uniwersytecki odbierając przysięgę akademików polskich zaznaczył, że na to, aby udzielać nauki języka polskiego, potrzeba w Prusach specyalnego pozwolenia władz, czego studenci zapewne nie otrzymają. Argumentacya ta nie wytrzymuje krytyki zdaniem naszem. Wszakże wyrok sądu rzeszy wyjaśnił, że władza tylko wtedy ma prawo zakazywać udzielania nauki prywatnej, gdy ta zamierza zastąpić naukę szkolną. Możnaby z tego drogą karkołomnej sofistyki dojść do ograniczeń prywatnej nauki dzieci szkolnych, lecz nigdy osób rygorowi szkolnemu nie podlegających. Zdarza się przecież bardzo często, że właśnie młodzież po opuszczeniu szkół garnie się do nauki języka ojczystego. Jakiem prawem chcianoby takiej młodzieży robić przepisy, czy i u kogo pragnie pobierać naukę języka ojczystego?

Tyle razy oświadczali ministrowie, że rząd bynajmniej nie ma zamiaru rugować i tępić języka polskiego. Atoli, czemże, jeżeli nie tępieniem języka polskiego, jest postępowanie rządu, który sam w swych szkołach nauki tej nie udziela ,a baczy pilnie, by jej inni także nie udzielali, opornych zaś karze grzywną i więzieniem?...

Przedstawioną powyżej sprawą ograniczania swobody obywatelskiej akademików powinni się zainteresować posłowie polscy.

Nie boi się ten Boga, nie wstydzi się ludzi,
Kto nienawiść klas jednych przeciw drugim budzi.

* * *

Próżniak, to jest drzewo dzikie, do pieca się przyda,
Pracowity, szczep szlachetny, owoc smaczny wyda.

Darwin i jego teorya.

I.

Są ludzie, którzy chełpią się z tego, że człowiek od małpy pochodzi, i nawet stawiają dowody na takie twierdzenia. Młode, niedowarzone głowy powtarzają często za drugimi oklepane frazesy o pochodzeniu człowieka i wydoskonaleniu jego ze świata zwierzęcego; niejeden słucha cierpliwie takich bredni, wie i czuje, że one są wymysłem ludzkim, a przecież zbić twierdzeń takich mądrali nie umie; inni, słuchając podobnych wywodów, popartych arcymądrymi dowodami, dostawają wątpliwości, a w końcu — uwierzą.

Nie od rzeczy więc będzie przypatrzeć się bliżej teoryi o pochodzeniu człowieka od małpy i przedstawić ją — o ile można, w jak najprostszy sposób — we właściwem świetle.

Twórcą wspomnianej teoryi jest Karol Robert Darwin (1809—82), wnuk znakomitego badacza natury. Po dłuższych studyach przyrodniczych wydał między innnymi w r. 1871 słynne dzieło p. t. „O pochodzeniu człowieka“, w którem dochodzi do konsekwencyi, że człowiek wydoskonalił się z małpy. Dzieło to doczekało się kilkunastu wydań i tłómaczone zostało niemal na wszystkie języki. Teorya jego znalazła miliony zwolenników i jeszcze do dziś w niektórych uprzedzonych umysłach pokutuje.

Wywodzą Darwin i zwolennicy jego swoją teoryę z następujących rozumowań:

W całej naturze widzimy wielką zmienność. Wszystkie organizmy żyjące bezustannie się rozwijają i odmieniają, tak że z biegiem wieków powstawają zupełnie nowe gatunki.

Obok tego spostrzegamy w naturze prawo dziedziczności, mocą którego rodzice przelewają na dzieci swoje charakterystyczne cechy. Potomkowie istot organicznych są w głównych zarysach podobni swoim rodzicielom. Zatem każda istota żyjąca ma zdolność i skłonność przekazywać swoje właściwości swoim potomkom. Widzimy dowody tego najjaskrawiej w naszych zwierzętach domowych, które dziedzicza po swoich rodzicach ich wady i zalety.

Z drugiej strony znów ciż potomkowie istot organicznych nie są zupełnie do siebie podobni, lecz niemal każdy z nich ma swoje odrębne cechy, które się nieraz jaskrawo na zewnątrz uwydatniają. Zatem każdy organizm ma skłonność i zdolność do odmian w swoich potomkach. Te odmiany znów idą dalej w nieskończoność w dalszych potomkach, tak że niejeden potomek zupełnie odmienny jest od swego prarodzica. Tak z biegiem czasów tworzą się w pewnym rodzaju zwierząt rozmaite gatunki, np. u psów, owiec, gołębi itd. W taki sposób organiczna przyroda jest w ciągłym rozwoju i podlega bezustannej zmianie.

Dalej — powiadają Darwinianie — zmianę w istotach organicznych wywołują zewnętrzne warunki życia.

Każda istota żyjąca stara się o swoje wyżywienie. Lecz że zwierzęta zbyt licznie rozmnażają, przeto zachodzi obawa, że nowe żyjątka się nie wyżywią. Stąd powstaje walka o byt, walka organizmów między sobą i z niepomyślnymi warunkami życia. Naturalnym sposobem w tej walce o byt słabsze organizmy niszczeją i pozostaja tylko szlachetniejsze, a skłonność do odmian wytwarza w przyrodzie co raz to nowe formy, którym sprzyjają zewnętrzne warunki życia.

Przemiana organizmów trwała całe wieki.

Tysiące generacyj przeminęły, zanim poszczególny organizm tak się zmienił, że już do innego gatunku mógł być zaliczony. Niektóre gatunki wymarniały zupełnie we walce o byt. Uczeni badacze przyrody wykopują dziś szkielety olbrzymich zwierząt, których nazwy nie znamy, a o których potomkach nie ma żadnego śladu. W ich miejsce powstały nowe gatunki, które naszym przodkom nie były znane.

Taka jest — oczywiście w głównych zarysach tylko — podstawa teoryi Darwina. Na mocy tych filozoficznych refleksyi, przyszedł do smutnego rezultatu, że człowiek pochodzi od — małpy!

Jakiem prawem?

Pochop do tak śmiałego twierdzenia dało uczonemu badaczowi przyrody ogromne podobieństwo człowieka do małpy, a mianowicie do goryla i orangutana.

W istocie samej podobieństwo jest rażące.

Twarz małpy ogromnie jest podobna do twarzy człowieka; układ ust, nosa, uszu, równa się ludzkim, jej stopy mają — jak nasze — po pięć palcy — małpy umieją także chodzić na dwóch nogach — a przednie łapy podobne są do naszych rąk.

Twierdzi więc Darwin ze zwolennikami swymi, że nasi przodkowie byli obrosłymi i ogonowatymi czworonogami, żyjącymi na drzewach. Zeszedłszy z drzew, nauczyli się używać tylnych łap — czyli nóg — do chodzenia. Wskutek natężenia muszkułów wyrosły nogi dłuższe i mocniejsze, przednie zaś łapy, jako mniej używane, stały się krótszemi. Z biegiem czasu człowiek-małpa nauczył się chodzić prosto, na tylnych łapach, czyli na dwóch nogach, a przednich łap używał już tylko do pomocy przy włażeniu na drzewa lub przy pożywieniu. W dalszym ciągu człowiek małpa utracił bujny włos na całem ciele; tylko rodzaj męski zapuścił sobie okazałą brodę!

A cóż się stało z ogonem człowieka-małpy?

Owóż ogon nasi praojcowie z czasem zgubili, kiedy nauczyli się siadać na ziemi i na przedmiotach ręką swoją zbudowanych — ot, po prostu ogon sobie „usiedzieli!"

Śmiech bierze nas, gdy czytamy te filozoficzne wywody wielkich uczonych badaczów natury. A jakimże sposobem przyszli do tak niedorzecznych konsekwencyj?

Otóż Darwinianie zaprzeczają istnieniu Boga i stworzeniu człowieka. Cały świat — wedle nich — powstał sam ze siebie, a człowiek przez udoskonalenie się z biegiem wieków przestał być małpą i stał się naraz człowiekiem!

Aby przekonać się o fałszywem rozumowaniu Darwinianów i ich błędnej teoryi, porównajmy tylko pobieżnie ciało człowieka z ciałem małpy.

Jak się wyżej powiedziało, zachodzi między obydwoma rażące podobieństwo; z drugiej jednakże strony przy anatomicznem porównaniu ciało ludzkie tak wiele wykazuje odrębnych cech, że każdy nieuprzedzony bez ogródki przyznać musi, że ono nie mogło wydoskonalić się z ciała małpiego.

Cała budowa ciała ludzkiego, kość pacierzowa układ rąk i nóg wskazują na to, że człowiek do prostego chodu jest przeznaczony. Natomiast struktura ciała małpy choćby najbardziej podobnej do człowieka, znamionuje przeznaczenie jego do czworonożnego chodu. Małpa potrzebuje przednich łap do pomocy przy chodzeniu i, trzymając się prosto, długo chodzić nie jest zdolna, gdy tymczasem człowiek przy poruszaniu się z miejsca na miejsce potrzebuje rąk tylko, ażeby zachować równowagę. U małpy ramię jest krótsze, noga zaś dłuższa jak u człowieka, co do chodzenia na czterech nogach wydaje się zupełnie naturalnem. Małpa nie zdolna nawet utrzymać się dłuższy czas w prostej postawie, ponieważ ma do tego za słabe mięśnie i muszkuły; może jedynie wytrwać czas jakiś w skulonej lub klęczącej postawie.

Charakterystyczne są dalej różnice w układzie rąk i nóg człowieka i małpy.

Wprawdzie tylna stopa małpy, zwłaszcza goryla, jest bardzo podobna do ludzkiej stopy. Jednakże palce jego stopy są tak zbudowane, że służą mu raczej do chwytania, wdrapywania się na drzewo i utrzymania się na gałęziach, aniżeli do chodzenia. Przednia łapa goryla jest większa, silniej zbudowana, aniżeli ręka człowieka, która nie jest przeznaczona do pomocy przy poruszaniu się, ale raczej do pracy.

Ważniejszą jest różnica czaszki.

Nie da się zaprzeczyć, że czaszka młodego goryla jest ogromnie podobna do czaszki ludzkiej. Jednakże, im starszym goryl się staje, tem bardziej podobieństwo to zanika; owszem głowa starego goryla wykazuje ogromną różnicę od głowy ludzkiej, bo wyraża dobitnie zwierzęcość i jest wprost brzydką. Podczas gdy u człowieka czaszka z mózgiem wynosi 2/3 całej głowy, czaszka goryla jest daleko mniejszą.

Ogromne kły, wielka masa mięśni i muszkułów, rażąco wystające szczęki robią wrażenie wstrętne; widać w niej dobitnie brak tej przedziwnej, wdzięcznej harmonii, jaka się w budowie głowy i czaszki człowieka przebija. Że zaś to niepodobieństwo czaszki małpiej do czaszki ludzkiej jest tem większe, im starszy jest porównany egzemplarz, przeto wynika naturalny wniosek, że przez uszlachetnienie gatunku, które Darwin tak bardzo zachwala, człowiek z małpy nigdy wydoskonalić się nie mógł.

Wreszcie i zawartość czaszki jest u małpy zupełnie inna jak u człowieka.

Najprzód ma człowiek więcej mózgu, aniżeli małpa. Najwyższa miara, jaką stwierdzono na mózgu goryla, wynosiła 35 cali kubicznych, gdy tymczasem najniższa u człowieka wynosiła już 63 cali. A stąd wniosek, że mózg małpy nigdy nie może tak się rozwinąć, aby dochodził do doskonałości mózgu naszego.

Ks. W. N.

Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości literackie.

Ponieważ plon literacki ostatnich miesięcy był nader obfity, musimy dzisiaj w naszem sprawozdaniu z nowych książek streścić się nieco, pragniemy bowiem przypatrzyć się o ile możności wszystkim główniejszym wydawnictwom beletrystycznym z tego czasu, a nie chcielibyśmy przekroczyć zwykłych ram wyznaczonego nam w „Pracy" miejsca.

Najprzód dopominają się o krótką chociażby wzmiankę dwa obszerne tomy nowel. Mamy tu na myśli *Zygmunta Bartkiewicza „Słabe serca"* (Warszawa-Kraków 1911) i *Mariona* (pseudonim kobiety): *„Uczciwą kobietę"* (Warszawa-Kraków 1911). O „Słabych sercach" wychodzących już w drugiem wydaniu (pierwsze: 1908) wspomnieliśmy już mimochodem na tem miejscu w przeszłym roku z okazyi pojawienia się innej książki tego autora tj. „Psich dusz". Powiedzieć tu możemy o „Słabych sercach" mniejwięcej to samo, na co już wtedy położyliśmy nacisk: Bartkiewiczowi nie zabraknie nigdy w wyrażeniu ciekawych spostrzeżeń i oryginalnych myśli dosadnego słowa i odpowiedniej formy artystycznej. Nowele jego odznaczają się szczerym realizmem, stylem zamaszystym i jędrnym humorem. Autor ten śmiało ujmuje znamienne objawy życia, uwydatnia nadzwyczaj barwnie najrozmaitsze środowiska, czuje się równie swobodnym w wielkich miastach jak i zaułkach małomiasteczkowych, a zwłaszcza na wsi polskiej. Bartkiewicz jest pisarzem rdzennie polskim, dla tego też znakomicie udają mu się obrazki zaczerpnięte z naszej przeszłości, mają one subtelnie odczuty wyraz charakterystyczny a nawet język archaiczny zastosowany tu jest nieraz ściśle do czasów, w których się opowiadanie toczy.

Ale i nowele jego z życia wiejskiego (te przedewszystkiem!) cechuje dosadność rysunku, naturalizm w dodatniem tego słowa znaczeniu. Niektóre z nich („Za cześć zagrody", „Polityka w lesie") przypominają żywo utwory Adolfa Dygasińskiego, który czuł się w swoim żywiole pośród przyrody i świata zwierzęcego. Jest to najwyższe uznanie, jakie wyrazić można autorowi „Słabych serc", Dygasiński posiada bowiem w literaturze naszej wielce zaszczytną kartę. Był to talent swojski, nawskroś oryginalny, dla tego też niesłusznie zwą niektórzy Dygasińskiego „polskim Kiplingiem". Brzmi to tak, jakoby Dygasiński zapożyczał się był u Kiplinga lub zgoła naśladował tego autora, gdy tymczasem nasz pisarz dawno już przed angielskim puszczał był w świat swoich czworonożnych „bohaterów" (Burków, Asów, Łatów, Targa-

jów), swoje gołębie, słowiki, wróble, łabędzie i inne skrzydlate stworzenia. Nasz autor okazywał też tym bohaterom ze świata zwierzęcego dużo serca, nie skąpił im nawet psychologicznego pogłębienia, a losy ich wiązał umiejętnie z losami ludzi. Te właśnie cechy odnajdujemy także w twórczości Bartkiewicza.

Byłoby to wielkim pożytkiem dla piśmiennictwa ojczystego, gdyby Bartkiewicz istotnie wypełnił lukę powstałą w niem przez zgon przedwczesny autora „Godów życia“, „W puszczy“, „Wilka, psów i ludzi“ i t. d. Co się tyczy noweli, to stać na to Bartkiewicza bezwątpienia. Ale zachodzi pytanie, czy dałby sobie radę z większymi obrazami. Zdaje się, że nie leży to w zakresie jego talentu. Autor nasz zatrzymuje się bowiem zwykle tylko przy schwytanych na gorącym uczynku kulminacyjnych punktach zdarzeń życiowych, a nie rozstrząsa przyczyn, które je sprowadziły. Przyszłość zresztą okaże, czy i o ile przypuszczenia nasze były słuszne, a tymczasem cieszymy się świetnemi nowelami utalentowanego autora. Oby ich nam dał jaknajwięcej! — —

Autorka *„Uczciwej kobiety“, Marion,* nie jest nowicyuszką w zawodzie literackim. Pisuje już od lat przeszło dziesięciu, ale ponieważ tworzy wolno, wydała dotąd dopiero cztery tomy powieści i nowel (Miraże (1909), Życie (1906), Pamiętnik (strofy liryczne) (1907), Obrazki rewolucyjne (1907). Najznamienniejszą cechą jej utworów jest ból istot nieumiejących ściśle określić swoich pragnień i dążeń, zmagających się z przeznaczeniem i ulegających ostatecznie w walce o zdobycie sobie szczęścia lub chociażby warunkowego zadowolenia. Niezniszczone nadzieje, niespełnione marzenia, rozczarowanie na każdym kroku i zagłada istnien ludzi opalających sobie skrzydła w ogniu nieukojonych tęsknot i niezaspokojonych pragnień — oto smutne obrazy życiowe Mariona. Obrazy to coprawda zbyt jednostajne, ale, jako odbicie sposobu myślenia dusz współczesnych, prawdziwe.

Zasadniczemu swojemu motywowi pozostała autorka wierną w nowym zbiorze obrazków nowelistycznych p. t. „Uczciwa kobieta“. Odnajdujemy go tu przedewszystkiem w (wydanym już uprzednio osobno) „Pamiętniku nauczycielki wiejskiej“. Nic nie uleczy już zniechęcenia do życia tej beznadziejnie smutnej bohaterki, ani szczytna praca nad oświatą ludu, ani niezwykłe wypadki rewolucyjne, ani wreszcie miłość czy szał miłosny. Niema celu jej życie, wszystkiego już zakosztowała, wszystko pozostawiło jej po sobie niesmak i nauczyło ją pogardzać życiem. Postępki ludzkie wydają się jej „głupiem i bezcelowem kołowaniem między konwencyonalnemi kłamstwami“, życie — paradoksem, idee — chimerami. Więc nic już nie wyzwoli jej z twardych więzów życia, jedynie chyba śmierć. Oto jedno jeszcze zmarnowane istnienie...

Oprócz tego nad wyraz przygnębiającego pamiętnika (wypełniającego połowę tomu) zawiera książka niniejsza kilkanaście dłuższych lub krótszych obrazków świadczących wiernem odbiciem życia i artystycznem wykonaniem bardzo pochlebnie o talencie autorki. Nie wszystkie posiadają oczywiście równą wartość. Najpiękniejszy z całego zbioru jest zdaniem naszem utwór p. t. „Ostatni“. Pod względem treści (serdeczna nuta patryotyczna) i sposobu ujęcia rzeczy, obrazek ten godzien jest być postawionym obok ostatnich nowel



Zygmunt Bartkiewicz.

Orzeszkowej zawartych w książce p. t. Gloria victis. To porównanie starczyć powinno za najgorętsze polecenie tak wspomnianej noweli jak i całej „Uczciwej kobiety“ i jej autorki. — —

A teraz zobaczymy, jakie dzieła przybyły nam w ostatnim czasie w dziedzinie powieści.

„Zmierzch“ Stanisława Przybyszewskiego (Warszawa-Kraków 1911) jest trzecią i ostatnią częścią „Synów ziemi“. O drugiej części tej trylogii tj. o „Dniu sądu“ pisaliśmy już obszernie w „Pracy“ a wyraziliśmy się o powieści tej bardzo pochlebnie. Także „Zmierzch“ zaliczylibyśmy do lepszych utworów tego pisarza. Pierwiastku narodowego, który jako nowy i w twórczości Przybyszewskiego uderzył nas tak mile w „Dniu sądu“, niema już w „Zmierzchu“, ale jest tu to samo zmaganie się w bezmiernym bólu dusz targanych męką życia. Otóż Hanka Glińska, o której przypuszczaliśmy, że zginęła śmiercią samobójczą, — jak wiemy, rzuciła się w tatrzańskiem ustroniu w przepaść z rozpaczy, iż mąż jej, którego opuściła była nie chcąc go potajemnie oszukiwać, zabronił jej raz na zawsze zbliżać się do ukochanego dziecka — ocalała dzięki odwadze i przytomności umysłu malarza Skirmunta. Ten wydobywa ją nietylko z niebezpiecznego położenia, ale okazuje się także dzielnym lekarzem duszy pani Hanny, którą po dniach cierpień moralnych doprowadza zbawiennym swym wpływem do równowagi. Nie udaje mu się oczywiście ochronić jej przed nowemi torturami życiowemi, jakie czyhają na tę prostą duszę nie umiejącą zawierać z życiem kompromisów. Spada bowiem na nią nowy grom: śmierć ukochanego człowieka, dla którego poświęciła była męża i dziecko. I znowu po ciężkiej chorobie (i tym razem stoi Skirmunt na straży duszy Hanki) przychodzi nasza bohaterka do siebie. Teraz już znajdzie ostateczne ukojenie w miłości córki, gdyż Gliński nie zamierza zagradzać nadal matce drogi do dziecka. Hanka żyć będzie odtąd dla swej ukochanej Basi. Na to musi znaleźć w sobie siły, pomimo strasznych przejść duchowych. I znajduje je zapewne.

My zaś stwierdziwszy (co czyniliśmy już nieraz), że Przybyszewski jest mistrzem w odtwarzaniu stanów psychicznych swoich bohaterów, odkładamy książkę z rodzajem ulgi. „Zmierzch“ bowiem nie dostarczył nam tyle wrażeń estetycznych co „Dzień sądu“, a ciągłe „zmaganie i wyzwalanie się“ duszy Hanki jest à la longue nużące. Podziwialiśmy już tę nawskroś poetyczną kreacyę w poprzedniej powieści, współczuliśmy tam gorąco z tą bohaterką, dostrajaliśmy się chętnie do jej sposobu myślenia, przeżywaliśmy niemal wraz z nią jej bóle. Ale tym razem Hanka nie zdołała już zapalić naszego serca, rozpatrywaliśmy jej dalsze losy z zupełnym spokojem, — zapewne dla tego, że poznaliśmy już dokładnie cierpienia jej duszy w „Dniu sądu“. Oswoiliśmy się więc z niemi, tem więcej, że ich symptomy są nieco jednostajne. Jakkolwiekbądź, przyznać trzeba, że co się tyczy wartości środków artystycznych, tak co do kompozycyi pisarskiej wogóle, jak i co do wykończenia szczegółów, stoi „Zmierzch“ na wysokości zadania. — —

Najdodatniejszym objawem w szeregu powieści ostatnich miesięcy jest „romans rewolucyjny“ *Edwarda Słońskiego* p. t. *Partya.* Mnóstwo powstało już osnutych na tem tle utworów, dużo było pomiędzy nimi poprostu zbytecznych, sprzyjających poziomemu gustowi mas, a nie legitymujących się żadną zgoła potrzebą artystyczną. „Partya“ Słońskiego zbyteczną nie jest — przeciwnie. Powieść ta nie zaznajomi wprawdzie czytelnika z całokształtem pa-



Edward Słoński.

miętnych lat rewolucyjnych w Królestwie, niewtajemniczonemu w arkana owej rewolucyi, nie da nawet w przybliżeniu pojęcia o istotnym jej przebiegu, jej celach, pobudkach itd.,; ale o to nie szło też widocznie autorowi. Wykazuje on tylko na jednym jedynym przykładzie, jak strasznie demoralizował charaktery w tej walce o wolność

despotyzm partyjny organizacyi bojowej.

Z nieśmiałością i ideałem w sercu przystępuje Stach Kostrzewa do „bojówki“, on, który jeszcze nawet strzelać z brauninga nie potrafi. Drzeniem przejmuje go myśl, że broń tę przyjdzie mu niezadługo przyłożyć do skroni bliźniego. W imię sprawy nie cofa się w końcu przed tem, strzela do bliźnich i wywłaszcza ich z mienia na rzecz partyi. Ale gdy zasmakował w tem rzemiośle, nie może już, czy też nie chce zrozumieć różnicy pomiędzy zabieraniem pieniędzy dla kasy partyjnej a zagrabianiem ich na zaspokojenie osobistych potrzeb. Urządza więc na własną rękę wyprawy, łupi sklepy, morduje ludzi, i tak przekształca się ten chłopak, który prosto z ławy szkolnej przystał z czcią dla „sprawy“ do partyi w krótkim bardzo czasie w pospolitego bandytę. Nawet idealna miłość, jaką żywi ku młodziutkiej dziewczynie, nie zdołała go ochronić od tego upadku. Ostatecznie ginie z rąk towarzyszów z partyi, którzy podyktowali mu karę śmierci za dezercyę z ich szeregów i za bandytyzm. Trudno odmówić współczucia tej duszy zbłąkanej. Toż nie instynkt zbrodniczy popchnął go na drogę występku, lecz uczyniły to niezdrowe stosunki panujące w organizacyach konspiracyjnych, sprawiła to życiowa i polityczna niedojrzałość. Dla tego żal nam tego młodzieńca (ilu ich w dobie rewolucyjnej zginęło w ten sposób!), tem więcej, że wyrok nań wydali współbracia. „A kto wam dał prawo sądu, prawo śmierci nade mną?“ pyta Kostrzewa w obliczu śmierci. Wykrzyk ten charakteryzuje dosadnie rewolucyjne sądy i wyroki.

„Partya“, która jest pierwszym obszerniejszym utworem Słońskiego prozą (oprócz liryk tworzył autor dotychczas tylko krótsze nowele — tłem ich także rewolucya („Bezimienće“, „W więzieniu“), udała mu się bezwarunkowo. Powieść ta pomimo że — jak wspomnieliśmy już — nie daje kompletnego obrazu przełomu z lat 1905 i 1906-go, jest w szczupłym swoim zakresie poniekąd dokumentem, gdyż autor, nie obniżając nigdzie rzeczywistych zasług bojowców, wykazuje w niej z objektywnością (a więc w sposób zupełnie wiarogodny) cieniste strony partyi bojowej, a przedewszystkiem jej zgubny wpływ na umysły niezrównoważone i niebezpieczeństwo tajnych sądów i doraźnych wyroków.

Szczera poezya rozlana hojnie na kartach powieści rozjaśnia duszny temat rewolucyjny. Nie darmo jest Słoński poetą z Bożej łaski, autorem kilku zbiorków pięknych poezyi lirycznych („Pieśń nad pieśniami“, „Okruchy“ „Jeszczem wciąż pełen wiosny“, Z pod szronu“). Nadmienić jeszcze musimy, że utwór ten przynosi oprócz psychologicznie pogłębionej głównej postaci „bojowca“, kilkanaście innych typów i postaci nakreślonych nie mniej silnie jak i tamta. Wszystkie te zalety wyróżniają „Partyę“ z pośród prawdziwej powodzi utworów „rewolucyjnych“. —

Niezupełnie trafiła nam do przekonania *„Kobieta z przeszłością“*, autorki pisującej pod pseudonimem *Bohowityna* (Warszawa-Kraków 1911). Autorka pragnęła w formie powieściowej zaprotestować przeciw krzywdzie, jaką świat wyrządza kobietom, jeśli te wyłamują się z pod praw ogólnie przyjętych. Bohaterce powieści Bohowityna nie wybaczą ludzie, że jest matką nieprawego dziecka. Nie złagodzi ich twardego sądu i to, że jest ona najlepszą matką, że zapracowywa się, by dać dziecku jak najstaranniejsze wychowanie, że niema ofiary, jakiejby nie poniosła, byle je ochronić przed złym losem. Otwartego przyznawania się do dziecka nieślubnego nie przebaczy jej ten najlepszy z światów, nie spocznie, aż nie rozłączy jej z ukochanem dzieckiem. „Wolno dopuszczać się wszelkich niegodziwości“ — woła autorka — „uprawiać rozpustę, sprzedawać się. Można zabijać dzieci w zarodku, już żyjące, prawe lub poczęte po za małżeństwem, można oddawać je na poniewierkę, głód, nędzę. Nad wszystkiem rozpostrze się zasłona pobłażliwości, tajemnicy, zapomnienia. Nie wolno tylko przyznawać się do nieprawych dzieci, kochać ich, poświęcać się dla nich, bo tego występku kobieta niczem nie okupi. Do końca życia rzucać nim będą, jako obelgą, w jej twarz, a pamięć o nim przejdzie do następnych pokoleń.“

Autorka, postawiwszy kwestyę na ostrzu noża, nie wyciąga jednak ostatecznych konsekwencyj ze swej powieści. Kruszy wprawdzie przez usta „znakomitej mówczyni“ kopie za równouprawnieniem kobiet i za zmianą „głupiej“ formy małżeństwa, ale koniec końcem zadowala się skonstatowaniem faktu, że „w społeczeństwie kobiet nie wybiła jeszcze godzina swobody“. Sądziliśmy, że autorka stawi jakieś pozytywne postulaty (a nie ogólniki!), lub że poda jaki poważny projekt ku poprawie stanowiska w społeczeństwie takich matek. Nic z tego. Mimowoli przypomina nam się bohater powieści p. t. „Z gruzów“ tej samej autorki, który powiada o sobie: „Od pierwszych chwil czułem w sobie protest. Ale nie jestem jednostką przygotowaną do zdobycia reform społecznych. Jestem tym słabym ludzkim ptakiem o słabych skrzydłach, który nie przeleci morza zwątpień“.

W „Kobiecie z przeszłością“ występują pary miłosne stojące w bardzo luźnym związku z założeniem całości. Przytem maluje autorka ich miłość zmysłową nadzwyczaj jaskrawemi farbami. Nie jest to jeszcze pornografia, gdyż autorka ma bądź co bądź artystyczne cele na oku, a nie chodzi jej o łaskotanie zmysłów czytelnika, ale są tu sceny, jakich nie przywykliśmy napotykać w beletrystyce polskiej. Ponad to brak powieści koncentracyi artystycznej, jasnego przeprowadzenia z góry nakreślonego planu, ale ostatecznie przyznać trzeba, że „Kobieta z przeszłością“ napisana jest z talentem. Są tu karty zdradzające siłę twórczą i temperament pisarski. Zaobserwowaliśmy to zresztą już w dawniejszych utworach Bohowityna („Słoneczniki“, „Wyzyskiwani“, „Z gruzów,“ „Czarnemi czcionkami“). — —

Najmniej zadowoliła nas najnowsza powieść *Maryi Rodziewiczówny* p. t. *Atma* (Warszawa-Kraków 1911). Autorka nagromadziła tu stek nieprawdopodobnych rzeczy, niemożliwych wprost wydarzeń i sytuacyj. Nie będziemy tu wyliczali wszystkich tych dziwnych zbiegów okoliczności, tych nadzwyczajności i niezwykłych wypadków, bo zaprowadziłoby to nas zadaleko, ale to powiedzieć musimy, że przynajmniej jakiś cień złudzenia powinien mieć czytelnik, że to, co czyta, jest możliwe. A na lep treści „Atmy“ mógłby pójść chyba tylko bardzo naiwny czytelnik. Bohater powieści dorobiwszy się rzetelną pracą dwukroć stu tysięcy rubli, rozdaje cały swój majątek, — „rzuca“ — tak zapewnia autorka — „jak kajdany stanowisko i bogactwo“, i spełnia pod przybranem nazwiskiem funkcye prostego robotnika cierpiąc literalną nędzę. Człowiek ten żyjący dotąd w dobrobycie, a więc przyzwyczajony do wygód i komfortu, zmuszony jest nocować w brudnym baraku pośród robactwa i w zaduchu, żywić się tylko czarnym chlebem i kartoflami (!) Taką sobie ten dziwny bohater wyznaczył pokutę za to, że w pojedynku amerykańskim, który się pomiędzy nim a kochankiem jego żony rozegrał, przeciwnik jego, stosując się do warunków pojedynku, odebrał sobie życie, gdy los o jego śmierci zadecydował.

Rzecz cała jest tak nieprawdopodobna, że ostatecznie możnaby się zapytać, czy to wszystko nie śniło się tylko głównemu bohaterowi, zwłaszcza, że autorka oplotła powieść pierwiastkiem fantastycznym. Ale tak, czy owak, te historye z tysiąca i jednej nocy nie mogą świadczyć — jak to leżało w intencyi autorki — ani o szlachetności bohatera, ani o wartości pracy. Oczywiście, że i w „Atmie“ są przebłyski talentu, jest tu żywość opowiadania, są barwne dyalogi, atoli powieść ta nie może iść w zawody nawet z najwcześniejszymi utworami autorki. A jednak nie wątpimy, że obdarzy ona nas niejedną jeszcze powieścią zbliżoną do poziomu „Dewajtisa“ i „Szarego prochu“. Byle tylko zaniechała zbytniego spuszczania się na rutynę i liczyła się więcej z realnymi warunkami życia. Reszty dokona już gorące serce autorki bijące zawsze żywem tętnem dla spraw społecznych i narodowych.

KRONIKA.

— Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowało się tylko pismo polskie, bo tylko polskie pismo jest prawdziwym przyjacielem domu polskiego.

— Tylko stałą, wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić pismo, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajo-

mych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— **Zjazd delegatów Związku Robotników Polskich na Obczyźnie** odbył się w pierwsze święto Zielonych Świątek w Berlinie na sali pana Spychały. Obrady delegatów poprzedziło uroczyste nabożeństwo.

Krótko po godzinie 3-ciej prezes Związku pan Chwaliszewski zagaił urzędowe zebranie delegatów, witając przybyłego z Poznania ks. kanonika Lisieckiego, sekretarza Związku Towarzystw Robotniczych na dyecezyą gnieźnieńsko-poznańską.

Po sprawdzeniu delegatów przyjęto sprawozdanie zarządu za lata 1909 i 1910.

Stawiono szereg wniosków o podwyższenie pośmiertnego, które przeważnie upadły. Organ Związku „Robotnik na obczyźnie“ postanowiono powiększyć. Stawiono również wniosek, ażeby złączono Związek Rototników Polskich na Obczyźnie z Związkiem poznańskim.

Pomiędzy innymi zabrał głos ks. kanonik Lisiecki i w długich bardzo rzeczowych wywodach przedstawił chwilową niemożliwość złączenia się obydwu Związków. Przedewszystkiem sprzeciwiają się temu ustawy, które zabraniają Związkowi działalności poza obrębem dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej. Dalej uniemożliwia złączenie odrębny całkiem system organizacyi. Trzeba więc wpierw pomyśleć o zbliżeniu się do siebie obydwu Związków.

— **„Witaj Królowo“ nie wolno śpiewać na cmentarzu w Berlinie.** W środę 31-go z m. odbywał się pogrzeb pewnego rodaka z parafii św. Piusa w Berlinie. Na cmentarzu zaintonował p. Waleńczak przyjętym z dawna zwyczajem: „Witaj Królowo.“ Naraz przystąpił do niego grabarz, żądając w imieniu proboszcza ks. Breuera, by p. Waleńczak wykazał, że ma pozwolenie na śpiew, a gdy tego uczynić nie mógł, zażądał, aby zaprzestano dalszego śpiewu. Mała tylko była garstka obecnych Polaków, i dla tego śpiew ucichł, lecz rozgoryczenie wielkie napełniło serca zebranych. Jest to fakt, który „w parafii św. Piusa, istniejącej przeszło 30 lat, zdarzył się po raz pierwszy i ztąd zasługuje na to, aby szerszy ogół dowiedział się o nim.

— **Kto sztuką** interesuje się poważnie, niechaj nie zwłoczy ze zwiedzeniem obecnej wystawy Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych. Wystawa ta należy bezsprzecznie do najlepszych, jakieśmy w Poznaniu mieli wogóle. Wieje z niej duch potężnego talentu Jacka Malczewskiego. Także reszta dzieł wystawionych prezentuje się — rzec można bez przesady — niepospolicie. Rozlokowanie obrazów i rzeźb bardzo korzystne. Całość nader estetyczna.

Wstępne wynosi 50 fen., dla młodzieży 25 fen. Towarzystwa mogą wystawę zwiedzić zbiorowo na warunkach specyalnie udogodnionych. Wystawa otwarta w dni powszednie od 10—6-tej, w niedziele i święta od pół do 12-tej do 4-tej.

— **Ze sprzedaży kart gratulacyjnych i kondolencyjnych,** zastępujących telegramy, wpłynęło w dalszym ciągu do kasy 78,30 mrk.

Zaznaczamy, że tylko z tych telegramów dochód przeznacza się na cele dobroczynne.

— **Cześć Pieśni. Zjazd Kół śpiewackich** okręgu VII. rawickiego odbędzie się w Golejewku, dnia 25-go czerwca r. b. w ogrodzie proboszczowskim. Program obfity i urozmaicony. W czasie koncertu: loterya fantowa, dekoracya kwiatami i t. d. Od godziny 10-tej tańce w namiocie.

O liczny udział uprasza

Zarząd.

Nekrologia.

† **Ś. p. Józef Wawrzyniak.** W Nacławiu zmarł po długiej chorobie gospodarz 95-letni Józef Wawrzyniak. Rano udała się synowa jego do miasta, by kupić trumnę, a gdy wróciła, zastała umierającego męża swego, który nagle zasłabł i wkrótce potem także zmarł, licząc zaledwie 40 lat. — Znów więc ciężka żałoba nawiedziła rodzinę, która w zeszłym roku utraciła swoją i społeczeństwa chlubę — ś. p. ks. patrona Wawrzyniaka. — **Ś. p. Hortensya z Donimirskich Czarlińska,** dnia 7-go b. m. w Chełmnie, w 73-cim roku życia. — **Ś. p. Czesław Koszczyński,** dnia 6-go b. m. w Poznaniu w 21-szej wiośnie życia. — **Ś. p. Aleksy Chmielewski,** kupiec ze Starogardu, dnia 5-go b. m., przeżywszy lat 49. — **Ś. p. Anna Barczyńska,** dnia 5-go b. m. w Toruniu, skończywszy lat 77. — **Ś. p. Jakób Kostański,** weteran z walki kulturnej, z powodu której przesiedział 4 miesiące w więzieniu, dnia 7-go b. m. w Kościanie w 80-tym roku życia. — **Ś. p. Stanisław Arndt,** zmarł dnia 8-go b. m. tragiczną śmiercią w Inowrocławiu. — **Ś. p. Edmund Au,** najmłodszy syn ś. p. sędziego Józefa Aua, byłego radcy miasta Poznania, dnia 9-go b. m. w Wrocławiu, przeżywszy lat 52. — **Ś. p. Marcin Nowak,** dnia 10-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 68. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Edwardowi G. w R. na Śląsku austryackim.** — Owych rozwiązań nie otrzymaliśmy. Nagrodę wysyłamy.

— **Panu Antoniemu K. w Sodingen.** — Pocztówkę Szan. Pana odesłaliśmy do Redakcyi „Przyjaciela trzeźwości“ celem załatwienia.

— **Panu Władysławowi C. w Paryżu.** — Cieszy nas bardzo ,żeśmy Szan. Panu numerem 4-tym taką radość sprawili. Dziękując serdecznie Szan. Panu za miłe pozdrowienie, ślemy również serdeczne bratnie pozdrowienie.

— **Panu W. Luberze w Rostocku.** — W tej skrawie niech się Szan. Pan uda z odwołaniem się na „Pracę“ do p. dr. Kryzana, inżyniera w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej nr. 33, który Szan. Panu udzieli potrzebnej informacyi.

—**Panu J. D. w Szczecinie.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale nie zamieścimy, gdyż wiersze nadesłane były już zamieszczone w „Pracy“ w dawniejszych rocznikach.

— **Panu Kazimierzowi K. w Dysseldorfie.** — W tej sprawie udzieli Szan. Panu informacyi pani Pelagia Biegańska w Poznaniu, ulica Wilhelmowska 16. I. (Posen. Wilhelmstrasse 16. I.).

Nowe książki i treść pism.

— **„Filareta“ Miesięcznik kulturalny dla Młodzieży.** Zeszyt 6-ty na czerwiec wyszedł i zawiera następującą treść:

Kolegom. — Ks. Maryan Poprawski: Kościół a postęp. — Antoni Durzyński: Mesyanizm duchowy Polski. Kilka spostrzeżeń o Krasińskim. — Studens Nemo: Wolność języka polskiego a akademicy. — Ks. Nikodem Cieszyński: O czystość i poprawność językową. — Katedra języka polskiego w Pradze. — Bożat: Nieco o oprawie książek. — Sprawozdania i oceny. — Konkurs Akademii Umiejętności w Krakowie. — Dar narodowy w postaci zagrody dla poety ludowego. — Kronika. — Od Redakcyi. — Czas odnowić przedpłatę. — Sprostowanie.

Czas odnowić przedpłatę na nowy kwartał. lipiec, sierpień i wrzesień. „Filareta“ zapisany jest na poczcie w katalogu gazet t. zw. Zeitungspreisliste pod Abteilung II. U. polnisch. Przedpłata kwartalna wynosi 90 fenygów. Adres Redakcyi i Administracyi: „Filareta“ Poznań, ulica Rycerska nr. 38. — Posen Ritterstrasse nr. 38.

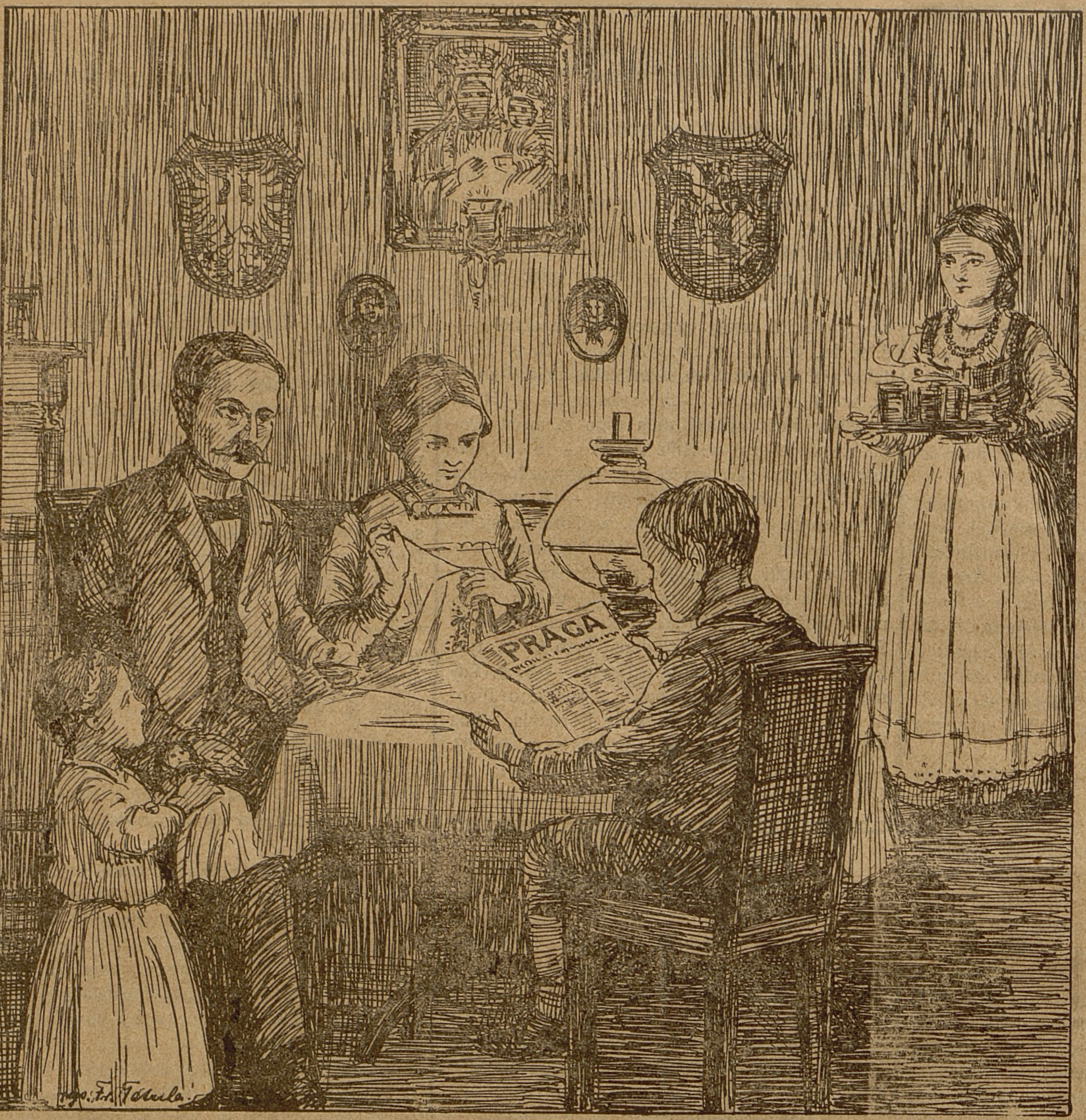
— **„Przyjaciel Trzeźwości,“** miesięcznik dla szerzenia wstrzemięźliwości między ludem. Najtańsze pismo dla bractw i towarzystw wstrzemięźliwości. Wychodzi nakładem „Związku Księży Abstynentów“ 15-go każdego miesiąca pod redakcyą ks. Maksymiliana Mrugasa w Poznaniu. Kosztuje na kwartał 15 fen. Można zamawiać na poczcie albo w ekspedycyi pod adresem: Sekretaryat „Związku Księży Abstynentów“ (Ks. M. Mrugas) Poznań (Posen) św. Marcin (St. Martinstr.) 69. Treść zeszytu czerwcowego: Co nas pobudza do abstynencyi? — Obrazki z życia. — Wiadomości z Towarzystw.

Srebrna Księga Sokoła Poznańskiego, wydana z okazyi 25-letniego jubileuszu poznańskiego Gniazda, ukazała się już w obiegu księgarskim. Księga ma objętości 192 stron druku dużej osemki.

Treść „Księgi Sokoła poznańskiego“, jest dobrana umiejętnie, daje pełny obraz wychowania fizycznego w starożytności i czasach nowoczesnych, ze szczególnem uwzględnieniem ziem Polski. Nadzwyczaj interesujące są trzy mapki Związku Sokołów polskich w Rzeszy niemieckiej. Dają one jasny obraz rozwoju Sokolstwa u nas.

Treści „Księgi“ odpowiada godnie jej szata zewnętrzna, stylowa w każdym szczególe i estetyczna; drukowaną na zbytkownym papierze kredowym, zdobi około 100 fotogr., winiet i stylowych inicyałów. Cena książki — 2,00 mk. — jest wobec tego bardzo nizką. Skład główny: księgarnia M. Niemierkiewicza, Poznań, pl. Wilhelmowski 3. Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich w Poznaniu i na prowincyi.

Zaproszenie do przedpłaty na nowy kwartał.



Niniejszy numer jest przedostatnim w bieżącym kwartale, czas więc największy odnowić przedpłatę na nowy, drugi kwartał rb. na poczcie lub też u listowych, którzy przyjmują także przedpłatę do dnia 25-go b. m.

Prosimy Szanownych Czytelników, aby nie tylko sami wcześnie odnowili przedpłatę na poczcie, ale aby byli łaskawi zachęcać do zapisywania „Pracy“ przyjaciół, sąsiadów i znajomych.

„Praca“ kosztuje na wszystkich pocztach 1,50 mk. z odnoszeniem do domu 1,62 mk. na kwartał.

W numerze niniejszym rozpoczęliśmy druk powieści pięknej p. t

„Z pamiętnika Kasi“.

„Z pamiętnika Kasi“ będzie czytał każdy z nadzwyczajnem zainteresowaniem i oczekiwać będzie z wielką niecierpliwością od tygodnia do tygodnia dalszego ciągu tej rzeczywiście zajmującej powieści.

Kwit pocztowy na nowy kwartał zamieszczony jest poniżej. Nowi abonenci otrzymają początek powieści p. t. „Z pamiętnika Kasi“ bezpłatnie za nadesłaniem znaczka pięciofenygowego na porto.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie bezpłatnie i franko.

„Praca“ jest najtańszem, najpoczytniejszem i najobfitszem w treść pismem illustrowanem polskiem z wszystkich tygodników illustrowanych, wychodzących pod trzema zaborami.

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das III. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,50 M.

(Imię i nazwisko):..

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

...................................., den .... 1911.

Kaiserl. Post....................................



Na zwiadach.

„Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba!“

Już kłos zielony począł wystrzelać z źdźbła wiotkiego, już kwiat biały poczerniał na drzewach umajonych. Miesiąc najcudowniejszy, miesiąc maj już się ukończył, a jeszcze serca ludzkie niedość nacieszyły się tym odblyskiem nowego życia: budzenia się całej przyrody z zimowego uśpienia. Radość panowała w sercach, ale nie we wszystkich. Serca dobre odczuwały błogość i szczęście, jakie daje życie — serca złe zazdrościły szczęścia innym.

W wiosce... lecz poco ją nazywać po nazwisku, a więc w pewnej wiosce, cieszono się także, tembardziej, że urodzaje zapowiadały się dobrze. Do szczęścia, jakie dawała sama wiosna przez siebie, przyłączała się nadzieja lepszego jutra bez trosk.

Cieszyli się prawie wszyscy, lecz nie wszyscy! U Mikołaja Sępa radości nie było, bo jej być nie mogło. A winien temu był sam Mikołaj. Gdy inni szli ochoczo do pracy, on dźwigał swe spróżnowane kości i wlókł się do karczmy, gdzie kieliszki dźwięczały a śmierdząca wódka lała się strumieniem. Tam spędzał dzionki całe a często i noc przeleżał.

Spływały tak lata a Mikołaj myślał tylko o wódce. Pan Bóg dla niego tak jakby nie istniał, a o Sakramentach świętych ani myśleć nie chciał. Niechby mu był kto wspomniał o kościele, z pewnością popamiętałby był długo swoją śmiałość.

Tak mijały dni, tygodnie, miesiące, lata.

Ot i teraz nadeszło święto uroczyste, święto Bożego Ciała. Wszyscy oczekiwali go z utęsknieniem, jeden Mikołaj zdał się nie wiedzieć, co to jest. Powróciwszy nad ranem z karczmy, przespał się trochę, a gdy pierwsze dzwony odezwały się przy pobliskim kościele, przetarł oczy i zażądał jedzenia. Podała mu je żona, ubrana już do kościoła.

— A, ty dokąd? — zawołał Mikołaj.

— Do kościoła. Wszak to dziś święto wielkie: Boże Ciało.

— Ja ci dam Boże Ciało! — huknął rozłoszczony małżonek i już chwytał jakieś naczynie, aby je roztrzaskać na biednej kobiecie, która jednak w jednej chwili znikła za drzwiami.

Mikołaj został sam. Jedzenie mu nie smakowało, bo i jakże mogło smakować, kiedy żona uszła bezkarnie. Podparł ociężałą głowę na ręku i zadumał się na chwilę.

Tymczasem przy kościele, który był w sąsiedztwie jego chaty, ruch robił się coraz większy. Gwar i śpiew pobożnego ludu przedzierał się do uszu Mikołaja i wywoływał na usta przekleństwa. Od czasu do czasu przeszywały powietrze głosy dzwonów kościelnych. Nareszcie jęknęły wszystkie. Lud, nakształt pszczół z ula, począł płynąć z kościoła. Pieśń szmerem wychodziła wraz z ludem, w końcu zmieniła się w potężny hymn chwały:

„Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie!“

Na dźwięk pieśni wyrwało się ogromne przekleństwo z ust Mikołaja. Ale

wierni widocznie nie odczuli złości Mikołaja, bo nie przerwali uroczystej pieśni, która ginęła dopiero gdzieś w ciemnych borach. Wspaniały pochód szedł dalej, a gdy zrównał się z chatą Mikołaja zabrzmiała pieśń nowa: *„Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba!“*

— Ja wam zrobię miejsce! — zaryczał jeszcze niewytrzeźwiony Mikołaj — a powstawszy z ławy, zbliżył się z zaciśniętą pięścią ku oknu.

Lud towarzyszący Najświętszemu Sakramentowi padł właśnie w tej chwili na kolana, jak łan dojrzałego zboża pod kosą kosiarza. Kapłan podniósł w monstrancyi „Ciało Boże“ znajdujące się pod postacią chleba i począł lud bł gosławić. Tu i ówdzie wyrwały się serdeczne łkania i żałosne jęki:

— Jezu, o Jezu! zmiłuj się!...

Gdy kapłan zwrócił Przenajświętszy Sakrament w stronę zagrody Mikołaja, ten wstrzymał swój krok w połowie i opuścił ku dołowi zaciśniętą pięść.

Chwilę stał nieruchomo, jakby skamieniał cały; nagle krzyk okropny wyrwał się z jego piersi:

— O, Jezu! — i jak długi runął na ziemię, że aż wystraszone kury narobiły krzyku w sieni.

Jak długo tam leżał, nie mógłby sam powiedzieć. Ale przez ten czas dusza jego łamała się i gięła, jak wątła roślina. W tym krótkim czasie przeżył nie dni wiele, ale lata całe.

Żona, wróciwszy po skończonej procesyi, zastała go leżącego na ziemi i łkającego. Przypadła do niego z krzykiem:

— Mikołaju, co tobie?

A Mikołaj podniósł ku niej swe wychudłe oblicze i zwrócił ku niej oczy załzawione na małą chwilę, a potem... popełzał na kolanach ku niej, pochwycił jej ręce i obsypywał je pocałunkami, szepcąc:

— Grzesznik byłem, grzesznik okropny, ale przyszedł czas upamiętania i pokuty. Jezu, dobry Jezu, daruj, przebacz, zmiłuj się nademną!...

Sokolstwo polskie i towarzystwa wojskowe w Ameryce Północnej.*)

Sokolstwo organizować się zaczęło w Ameryce daleko później, niż w Polsce, ze względu na brak ludzi, którzy mogliby je zorganizować. Wprawdzie pierwsze gniazdo sokole zorganizowane zostało już w r. 1887 w Chicago, a związek Sokoła istnieje od r. 1894, ale dopiero od r. 1905 datuje się żywszy rozwój tej organizacyi. Obecnie zaś w Ameryce jest już około 300 gniazd, skupiających około 10 tys. młodzieży płci obojga. Przyczyną, dla której tak długo organizacye sokole nie mogły ugruntować się w Ameryce, był nietylko brak instruktorów gimnastycznych, ale także ten fakt, że daleko wcześniej po wszystkich parafiach amerykańskich organizowały się towarzystwa wojskowe, pociągające młodzież barwnym swym strojem. Towarzystwa te popierało duchowieństwo. Towarzystw takich jest po kilka w każdej parafii, a parafij polskich w Ameryce jest blizko 800. W ostatnich czasach jednak zawiązuje się ich mniej, niż dawniej. Sokolstwo natomiast zyskuje coraz więcej sympatyi, a gniazda sokole stają się środowiskami polskiego życia towarzyskiego w Ameryce. Około 30 gniazd posiada już własne domy, w których odbywają się nietylko ćwiczenia gimnastyczne licznych zastępów druhów i druhiń, lecz i wieczorki, odczyty i t. d. Sokolstwo amerykańskie urządza także częstokroć wielkie manewry polowe, na których obok ćwiczeń sokolich odbywają się manewry wojskowe z bronią palną, w którą prawie wszystkie gniazda amerykańskie są już zaopatrzone. W manewrach tych biorą częstokroć udział także towarzystwa wojskowe.

Sokolswo amerykańskie bierze zwykle gremialny udział w uroczystościach narodowych, a często i kościelnych. W ostatnich czasach sokolstwo rozpadło się na dwie organizacye, nie żywią one jednak niechęci do siebie i jest wszelkie prawdopodobieństwo, że zlanie nastąpi wkrótce.

Działalność towarzystw wojskowych natomiast od czasu powstania i rozwoju gniazd sokolich nie jest tak intensywna. Liczbą członków przewyższają one w dwójnasób liczbę Sokoła, są one jednak o wiele słabsze, niż sokole. Zakładano te towarzystwa, wzorując się na amerykańskich tak zwanych towarzystwach rycerskich, służących przeważnie do parady. Wzięto tylko strój dawnych ułanów lub krakusów, a są nawet w użyciu mundury austryackie i wojska polskie poczęły się mnożyć po wszystkich koloniach. Niektóre z tych oddziałów są nawet wcale nieźle wyćwiczone, są jednakże i niemające pojęcia o mustrze. Komenda w oddziałach przeważnie polska, ale także jest sporo oddziałów, w których posługują się mową angielską na wzór milicyi krajowej.

W całych Stanach Zjednoczonych jest tylko jedna regularna kompania milicyi stanowej z samych Polaków, a to w Milvaukee, Wisconsin, która istnieje od 25 lat pod nazwą „Gwardyi Kościuszki“ i brała udział także w wojnie hiszpańskiej. Animusz wojskowy w czasie tej wojny ogromnie się między Polakami rozbudził. Około tysiąca młodzieży stanęło pod gwiaździstym sztandarem, a kilka razy tyle zgłosiło swą gotowość, z której rząd nie potrzebował już korzystać.

*) Wobec świeżo odbytej uroczystości srebrnego jubileuszu Sokoła poznańskiego z pewnością zainteresuje Szanownych Czytelników powyższy artykulik. — Przyp. Redakcyi.

Biała sukienka.

Jakżeż serce matki roi,
Gdy dzieweczkę drobną, małą,
W niewinności szatę stroi,
W sukieneczkę piękną białą.
Ileż zamków złotolitych
Myśl matczyna dla niej tworzy —
Ileż wieńcy z róż spowitych
Świat do stopek drobnych złoży.
Ach! a życie chyżo bieży
Z falą wody lata płyną,
W białej stoi znów odzieży
Na pół dziecko pół dziewczyna. —
U ołtarza w śnieżnej bieli,
Gdzie się gromnic światła trwożą,
Grono dziewcząt jak Anieli
Przyjmią Ciało i Krew Bożą.
Jakże serce bije matki —
Ileż modłów śle w niebiosy,
Wszak czas przyjdzie kiedy z chatki
Córkę w świat poniosą losy. —
W parę latek welon biały
I wianeczek ten zielony,
Będą druchny przypinały
Ot do skroni młodej żony.
Ach a życie chyżo bieży
Z falą wody lata płyną!
W białej szacie cicho leży —
Świece płoną nad dziewczyną.
W białej trumnie marzeń krocie
W wianek strojna martwa głowa,
W płowych włosach niby w złocie —
Lśni łza matki brylantowa.

Walerya Nowacka.



Kwiaty.

Dział kobiecy.

Welon.

Patrząc na stare drzewa i miedzioryty i na stare portrety, przedstawiające nam ludzi dawno minionych czasów kultury, dochodzimy do przekonania, że mężczyźni absolutnie nie mają prawa do spoglądania z pogardliwą wyższością na wybryki mody. I oni musieli się zastosowywać, tak samo jak kobiety, do wymagań wszechwładnej tej monarchini. W przeszłych stuleciach stroili się mężczyźni nietylko w różnokolorowe fraki, ale nawet w ubrania tak podobne do sukien kobiecych, że wyglądali co najmniej — śmiesznie. W trzynastem stuleciu starali się rycerze, wiernie oddani pięknym damom, naśladować kobiece ubrania; nakrapiali długie pukle włosów wonnemi esencyami, zdobili się klejnotami, piórami, futrami i nosili takie ubrania, że nieraz nie było można zdaleka poznać, czy to kobieta, czy mężczyzna. W Francyi odróżniały się kobiety jedynie długiemi warkoczami, przeplatanemi kolorowemi wstążkami, ubranie bowiem męskie nie różniło się niczem od kobiecego. Ludwik XIV. naśladował również ten strój, kładąc na krótkie, koronkowemi falbanami zakończone pantalony, spódnicę, sięgającą do kolan, bardzo fałdzistą i strojoną kokardami i falbanami. „La jupe" stała się najpierwszą modą, nawet panowie, jeżdżąc konno, nie zdejmowali jej. Wszystko, co wówczas było niezwykłem i kosztownem, nosili panowie także. Kosztowne jedwabie, materye złotem haftowane, olbrzymie mufy, trzewiki na niemożliwie wysokich korkach, perfumowane rękawiczki, niewygodne peruki, długie i watowane płaszcze, hamujące wszelkie swobodne ruchy — wszystko to było modą tak dla mężczyzn jak i dla kobiet. Próżność męska poddawała się nawet przymusowi gorseta! Zresztą moda ta panowała podobno bardzo długo!

Jednej tylko rzeczy nie próbowali sobie mężczyźni przyswoić, to jest: *welonu*. Powiewna ta tkanina, poświęcona jest wyłącznie zalotności kobiecej!

Leży to już nawet w charakterze woalu, że mężczyźni zrzekli się tej ozdoby. Kobieta pragnie pozornem ukrywaniem wdzięków pociągać — to też nic nie nadaje się do tego tak dobrze, jak lekki, przezroczysty welon, który niby zakrywa, a jednak w niepewnych liniach piękność zdradza. Każda twarz, zasłonięta woalką może być piękną!

Ojczyzną welonu jest Wschód — tam, gdzie wartość kobiety jedynie na piękności polega.

W złocistych, zacisznych komnatach kobiet indyjskich, zarzuciły może klejnotami ozdobione palce wysmukłej królowej po raz pierwszy powiewny welon na twarz i ramiona. Może miłość jej władcy stygnąć zaczęła, i biedna królowa wymyśliła nowy strój, aby stać się znowu ponętną i piękną. Może jaka pobożna żydówka okryła kosztowną swą szatę welonem, jak

mgłą, na znak niewieściej pokory i uległości. Bo żydówki nie używały welonu jako stroju, podnoszącego ich wdzięki, tylko jako symbolu wierności małżeńskiej. W innym zupełnie celu nosiły welony fenickie kapłanki Molocha. Zakryte czerwonemi, przezroczystemi welonami, usiłowały wzbudzać w wiernych grozę mistycyzmu, mianowicie, gdy tańcząc przed obrazem straszliwego bożka w przyciemnionej złotem błyszczącej świątyni, wlokły za sobą czerwone welony, jak strumienie krwi.

Głównie jednak służył w czasach starożytnych welon na to, aby uwydatnić i podnieść piękność kobiety. Staro-egipskie tancerki owijały się w tańcu welonami, haftowanemi złotem, a królowe egipskie nosiły welony, z złotych tkane nici, tak zwane „kalasiris," zamiast sukien. Greckie tancerki okrywały się również szalami, układanemi w spływające wdzięcznie fałdy, które się w rytm muzyki unosiły i spadały, narzeczone zaś zakrywały w dzień ślubu całą postać białemi welonami. Rzymianki czyniły tak samo, lecz zamiast białych, używały żółte welony. Nawet na ulicy nie pokazała się żadna wytworna Rzymianka bez welonu, czyli flammeum. Najpiękniejsze i najkosztowniejsze welony sprowadzano z wyspy Kos lub Tuskus, nigdzie bowiem nie przędzono tak cienkich nici i nie haftowano tak pięknie jak tam. Przymocowany do włosów drogiemi śpilkami, spływał welon aż do ziemi i nadawał Rzymiankom charakter nieprzystępnej dumy i wytworności.

W następnych wiekach stawał się welon coraz to więcej oznaką dostojności. Jako znak cesarskiej potęgi spływał z pod korony byzantyńskich monarchiń na ciężki, złotem tkany płaszcz koronacyjny; longobardzkie królowe zdobiły welonem jasne, germańskie włosy, i niemieckie księżne jedenastego stulecia okrywały głowę i ramiona gęstemi welonami.

W następującej epoce wojen krzyżowych doszło panowanie welonu do wyższej jeszcze potęgi. Rycerze przynosili z Wschodu żonom, córkom i siostrom najpiękniejsze welony, któremi się damy stroiły podczas igrzysk i turniejów rycerskich, wzbudzając podziw i zazdrość w tych, które się takiemi kosztownemi ozdobami poszczycić nie mogły. Ale rozszerzone stosunki handlowe z Wschodem pozwoliły wnet każdej nieomal damie uzupełnić strój pięknym welonem. Mianowicie kupcy augsburscy i weneccy znali się na welonach, i oni też największy handel niemi prowadzili.

Powiewna, delikatna tkanina zyskiwała tym sposobem coraz to więcej uznania i powodzenia. Rycerze jadący na pole bitwy, otrzymywali od ukochanych kobiet welony, które po odniesionem zwycięstwie znów oddawali — welon taki miał strzedz rycerza od niebezpieczeństwa i był przez niego za świętość uważany. Nieraz była cieniuchna tkanina krwią zbroczona, nieraz nie zdołała go ustrzedz od śmiertelnego ciosu wroga — nie przeszkadzało to jednak wcale, aby damy nie obdarzały welonami wybranych serca.

W kilku dalszych stuleciach zaczął welon tracić nieco na wartości, to jest o tyle, że nie służył teraz już za ozdobę kobietom młodym i pięknym, tylko, że stał się symbolem powagi kobiecej i surowych obyczajów. Nazwany „rise," służył nietylko arystokratkom, ale i mieszczankom i był koniecznem uzupełnieniem ubrania. Zasłaniając czoło aż do oczu, zakrywał uszy i część policzków i bywał pod brodą mocno związanym. Później układano go nad czołem w drobne fałdki lub oszywano „ryszkami," co jednak bardzo wyglądało sztywno i nieładnie. Królowe i księżne kładły korony na tak okryte głowy, jak to dziś jeszcze widzimy na starych obrazach. Dziwnie wyglądały w takim stroju młode twarzyczki księżniczek! Angielki nosiły do tego jeszcze długie welony, spadające z tyłu aż do ziemi i zwykle tak długie, jak suknia.

Czy to noszony na głowie, czy zakrywający twarz i postać — welon stał się znakiem godności kobiecej i symbolem czystości obyczajów, bojaźni Bożej i pogardy świata. Dziewice okrywały się welonem zakonnym i zamykały się w klasztorach; wdowy brały czarne welony na znak wiecznej żałoby i ukrywały pod niemi włosy aż do śmierci.

Pod koniec jednak XV. stulecia wróciły Francuzki znów welonowi należyte stanowisko. Z wierzchołka burgundzkiego czepca, podobnego do głowy cukru, a zwanego „le hénin," spadał haftowany welon, nazwany „flinder" w szerokich i długich fałdach na plecy, nadając całej postaci pewien wdzięk, który nam się dziś trochę jednak dziwnym wydaje. Ale mody krytykować nie wolno! Bo jakakolwiek jest — wypływa ona zawsze z ogólnego upodobania i ogólnych zapatrywań, umie się zastósować do panujących zwyczai i jest niejako zwierciadłem charakteru czasu. Welon służył kobietom w najdawniejszych czasach jako ubranie, okrywał śliczne twarzyczki kobiet na Wschodzie, osłaniał i osłania dziś jeszcze pobożne zakonnice i zawsze był ulubionym strojem kobiet. Tylko lekkomyślne, upudrowane panie z czasów Ludwika zarzuciły go zupełnie. Umiały one innemi sposobami zdobyć serca mężczyzn. Welon, zakrywający wdzięki, nie odpowiadał ich przekonaniom — mała, czarna maska, lepsze im wyrządzała przysługi!

Lecz w czasach empire odzyskał welon znów swe panowanie i dostąpił takiej nawet godności jak w czasach starożytnych, to jest, że przedstawiał czasem całe ubranie modnej damy. Francuzki pragnęły naśladować greckie boginie, i nie zważając na klimat, używały najcieńszych, najprzezroczystszych tkanin na ubrania. Welon, osłaniający obnażoną szyję i ramiona, miał nadawać całej postaci wrażenie „eteryczności." Najmodniejszemi były wówczas „bajadery," szale czyli welony indyjskie, za które olbrzymie płacono sumy. Każda z pań starała się o inny układ fałd, każda pragnęła być i eteryczną i oryginalną.

W czasach biedermeierowskich widzimy brzydkie, kolorowe welony na kapeluszach amazonek. Nosiły go też jeszcze panie, ale tylko „na wizyty" i to tylko latem. Potem zarzucono go znowu i teraz dopiero odżył, jako śliczny strój balowy i wieczorowy. Na każdej lekkiej sukni wygląda szal czyli welon bardzo ładnie i każdej kobiecie jest w nim do twarzy. Tam jednak, gdzie stała jego kolebka i gdzie największe miał znaczenie, to jest na Wschodzie — tam zaczynają go kobiety zaniedbywać. Turczynki nie chcą już zasłaniać twarzy — i one dążą do wyzwolenia się z pod zastarzałych przepisów i chcą jak kobiety na Zachodzie, zupełnej wolności!

Welon nie ma dziś już tego uroku poetycznego, jaki miał dawniej. Tylko serca dzieci uderzają żywiej, gdy czytają o złotowłosych księżniczkach, których welony moc czarodziejską posiadały!

I jeszcze welon ślubny przywołuje nam na pamięć dawniejsze znaczenie tej ozdoby kobiecej. Przetrwał on setki lat i w biegu wiecznie zmiennych czasów pozostał zawsze ten sam. I zawsze te same uczucia towarzyszą oblubienicy, gdy przed ołtarzem cichym wymawia głosem słowa przysięgi.

Ile nadziei, ile snów szczęścia marzy kornie schylona główka, białym okryta welonem!

M. P.



Wyścigi z przeszkodami.

WIOSKA.

Ukochałem wieś rodzinną,
Rozrzuconą nad ruczajem,
Okopconą chatę dymną:
Ona dla mnie jakby rajem.
Ukochałem wiejskie stroje,
Staropolskie te sukmany,
Kapelusze ze wstęgami,
W które ludek jest ubrany.
Ukochałem wiejskie pola
Potem dziadów użyźnione,
Modre łąki i wygony
Ślicznem kwieciem umajone.
Ukochałem wiejskie drzewa:
Świerki, lipy i topole,
I pastuszka, co zaśpiewa,
Gdy bydełko pędzi w pole.
Ukochałem mgły poranne,
Co się zawsze zrana włóczą,
Póki słońce ich nie zmusi
Iść za lasy, co tak huczą.
Ukochałem wiejskie słońce,
Co promieńmi wioskę złoci;
I ten zagon kamienisty,
Przy którym się wieśniak poci.
Ukochałem wiejską gwarę
I legendy ludu sławne,
Co wiekami zachowują
Staropolskie czasy dawne.
Wszystko piękne, drogie, miłe,
Gdzie się tylko ja obrócę.
I dlatego nigdy, nigdy
Mojej wioski nie porzucę!

Piotr Lipowiak.

Więzienia rosyjskie.

Wyszło w ostatnim czasie z druku, w objętości 500 stron dużego formatu, bardzo ciekawe „Sprawozdanie głównego zarządu więziennego w Rosyi za r. 1908."

Ze sprawozdania tego okazuje się, iż dnia 14-go stycznia 1909 r. w 714 więzieniach cywilnych w Rosyi na 106,888 miejsc było więźniów wszystkich kategoryj 180,206, czyli, że przepełnienie więzień wyraziło się w cyfrze 63,318 ponad normę. Najwyższy jednodniowy skład wszystkich więźniow, bez dzieci, wynosił 222,683, czyli że w dniu tym więzienia miały ponad normę 105,795 więźniów. Cyfry powyższe nie są oczywiście ścisłe, nie obejmują bowiem osadzonych w więzieniach wojskowych, w aresztach, cyrkułach, na odwachach i t. d.

Liczba więźniów wzrasta nieustannie z roku na rok. W ciągu ostatnich lat 5 zwiększyła się przeszło w dwójnasób: dnia 14-go stycznia 1905 r. więzienia miały 80,885 niedobrowolnych mieszkańców, w r. 1905 cyfra ta wzrosła do 95,352, w r. 1907 do 125,298, w r. 1908 do 160,025 i wreszcie w r. 1900 do 180,206 osób. Wzrost ten niepomierny sprawozdanie tłómaczy przedewszystkiem przyczynami politycznemi.

Owe 180,206 więźniów według kategoryj dzielą się, jak następuje: zesłanych do ciężkich robót było wśród nich 20,936. I tu zauważyć się daje olbrzymi wzrost więźniów: w r. 1906 było więźniów tej kategoryj 5,748, w roku 1909 już 20,936. Przeważali skazani za zabójstwo, dalej szli skazani za rozboje i wreszcie polityczni. W rotach aresztanckich było 27,418 więźniów (w roku 1900 liczba ich wynosiła 15,832). Osadzonych w więzieniach i twierdzach było 69,399 i wreszcie pozostających pod śledztwem 62,443 (w r. 1904 — 30,442). W ogólnej liczbie więźniów kobiet było 12,388, małoletnich od 10 do 17 lat 10,203.

Wszyscy więźniowie ci przebyli ogółem w więzieniach w roku sprawozdawczym 62,601 653 dni, czyli, że w ciągu jednego roku odsiedzieli 171,511 lat więzienia.

Przy takiem przepełnieniu więzień cierpieć musiał, oczywiście, dotkliwie i tak już daleki od doskonałości stan sanitarny. Na ogólną liczbę 180,206 więźniów w roku sprawozdawczym potrzebowało pomocy lekarskiej 182,798. W szpitalach więziennych znajdowało się przecięciowo 13,175 więźniów dziennie. Śmiertelność w roku sprawozdawczym wyraziła się w cyfrze 5,145. Tak wysoką, w porównaniu z latami poprzedniemi, śmiertelność sprawozdanie tłómaczy wyłącznie przepełnieniem więzień.

W ciągu roku sprawozdawczego zbiegło 1,371 więźniów; z liczby tej ujęto ponownie 564, powróciło dobrowolnie 20, zbiegło bez śladu 787. Rozruchów więziennych w czasie tym było 43, podkopów 327, podpaleń 9, zabójstw współwięźniów 42, gwałtów nad strażą więzienną 36. Przy tłumieniu rozruchów tych i usiłowaniu ucieczki zabito 71 więźniów, raniono 51.

Samobójstw i zamachów samobójczych było 103.

To i owo.

Zegary mówiące.

Mechanizmy zegarowe przechodziły w ciągu wieków najrozmaitsze koleje. Łączono je z różnemi maszynami, czy to z wielkiemi dzwonami, jak przy zegarach wieżowych, czy z grającemi instrumentami, które brzękiem melodyi oznaczały okresy czasu, czy z figurami, wykonującemi w pewnym czasie pewne poruszenia. Zamieniono wskazówki na wyskakujące cyfry, oświetlano tarcze, łączono prądem elektrycznym szereg zegarów w jeden łańcuch, aby zapełnić dokładność oznaczania czasu. Poza tem powstają ciągle nowe mechanizmy, mniej lub więcej interesujące. Jedną z nowości takich, bardzo oryginalnych i mogących znaleźć praktyczne zastosowanie, jest zegar, przemawiający ludzkim głosem. Nie, jak stara, zegarowa kukułka, lecz głośnemi, wyraźnemi słowami. Mówiący zegar nie różni się wcale zewnętrznym wyglądem od zwykłego zegara ze wskazówkami, przesuwającemi się normalnie, w chwilach między kwadransami, nie zwraca też zegar niczyjej uwagi. Dopiero gdy wskazówka stanie na godzinie, czy pół godzinie, czy kwadransie, zegar odzywa się nagle donośnym głosem: „dwunasta!" „dwunasta piętnaście!" „pół do pierwszej!" i t. d.

* * *

Miliard.

Większość ludzi nie ma wyobrażenia o tem, co to jest miliard czyli milion milionów. — Olbrzymia ta suma n. p. marek niemieckich w złocie waży 333.580 kilogramów, a możnaby niemi zapełnić kostkę, której każda z sześciu płaszczyzn mierzy 17 metrów kwadratowych. Gdyby z tej masy złota wyciągnięto drut, możnaby nim opasać całą ziemię. Miliard w srebrze waży 5 milionów kilogramów — kostka musiałaby w tym wypadku posiadać płaszczyzny o wielkości 477 metrów kwadratowych. Aby przetransportować miliard w złocie, potrzeba 64 wagonów, które musiałyby zająć tor kolejowy na przestrzeni 400 metrów. Miliard w srebrze wymaga już 1000 wagonów, zajęłyby one 6 kilometrów toru. — Gdyby miliard w złocie znajdował się w jednej bryle, to do podniesienia jej potrzebaby było 6000 ludzi, a 32.000 osób musiałoby miliard w złocie dźwigać, gdyby każda z nich zabrała tylko 10 kilogramów. Do miliarda w srebrze potrzebaby już 500.000 ludzi. Gdy się miliard złotemi monetami ułoży jedną obok drugiej, otrzyma się długość 1050 kilometrów, a gdy się monety ułoży jedną na drugiej, otrzymamy kolumnę wysokości 33.000 metrów.

SZAMPAN.

(Humoreska).

Pani Szczyglikowska z ponurą miną weszła do gabinetu męża, gdzie prawowity jej małżonek pracowicie i z ogromną wprawą bębnił palcami po biurku.

— Cóż?

— Nic.

— Ten osioł poszedł?

— Poszedł.

Ciężkie westchnienie przy tych słowach wyrwało się z obszernych, pakownych piersi pani Szczyglikowskiej.

By nie męczyć czytelnika niepewnością, zaznaczę odrazu, że ten, którego małżonkowie Szczyglikowscy epitetem „osła" ochrzcili, był panem Józefem Pasternakiewiczem, który od dwóch lat uchodził za starającego się o rękę panny Weroniki, najstarszej państwa Szczyglikowskich latorośli, pulchnej i dobrze „odżywianej," jakby się wyraził lekarz.

Ale przez te dwa lata dobrze się już wytarło nowe dywanowe pokrycie na otomanie, na której pozostawiano samotnie młodą parę, pan Józef mówił o różnych rzeczach zarówno jak i o innych, a jeszcze się nie oświadczył.

— Dyabli nadali gamajdę — mówiła pani domu. Zdecyduje się, czy nie? Wera kończy, dzięki Bogu, 30 lat, do męża aż piszczy, a ten cymbał zwleka. Powinien raz zrobić krok w tę czy inną stronę. Chce — to dobrze, a nie — pal go dyabli, czego innym miejsce zabiera.

— Ale on chce, duszko. Przecież wiem o tem od jego rodziców, tylko taki nieśmiały.

— A toć przez dwa lata mógłby się już ośmielić. Siedzi przy Werze po całych godzinach, dziewczyna mu pokazuje coraz większy dekolt — dziki nosorożec jużby się ośmielił, a ten nic... jak lodowiec, jak... jak... no dyabli wiedzą, jak kto.

Może by go, duszko, jakoś ośmielić, zachęcić?

— Mam myśl. Wiesz, ten stary Piernikiewicz mówił mi raz, że, jak wypije parę kieliszków szampana — robi się zaraz jak lew, jak tygrys, jak antylopa. Mówi, że krew mu się pali, nabiera odwagi, że choć bij w twarz...

Tak, to i ten gamajda gotów się wziąć do bicia.

— Ale skąd! Taki spokojny! Niech wypije sporo tego szampana, a później zostawimy go samego z Werą — musi się oświadczyć.

— Ale ja będę patrzeć przez dziurkę od klucza.

— A patrz sobie, duszko, przez wszystkie dziurki.

— Tylko to podobno taki szampan jest bardzo drogi?

— Ha, tak. Coś 15 marek butelka do domu.

— Cooo? Piętnaście marek! W skórę bym sobie kazała dać publicznie. Toć za te pieniądze można mieć cały tuzin pończoch.

— Ale jeżeli to, duszko, jedyny sposób. Skończą się wreszcie może te kolacye....

— Już ty mi nie mów, żeby tak zliczyć, co ten gamajda samych wędlin zjadł — byłoby przeszło 20 wieprzów.

— A widzisz, duszko. Niema co, trzeba się raz zdobyć na taki wydatek.

— A może jest tańszy szampan!

— Może, spytam się. Ale przecież nie można bardzo lichego, bo to nie działa.

— Ileż to butelek trzeba?

— Hm... ja sądzę, że trzy, cztery...

— Jezus Marya! A cóż ty go kąpać chcesz?

— Trzeba mieć na zapas, duszko i lać mu, dopóki się nie oświadczy.

— Ha, to — lej. Dziej się wola Pańska!

— — — — — — — — — —

W tydzień później pod pozorem jakiejś zmyślonej uroczystości rodzinnej państwo Szczyglikowscy wystąpili z uroczystą kolacyą.

Przy kaczkach z jabłkami służąca wniosła kubeł emaliowany, zaszczycony w tym pamiętnym dniu godnością mrożenia szampana. Cztery główki odrutowane wyglądały ponętnie z pośród lodu.

Pan Józef zadrżał ze wzruszenia. Do tej pory bardzo rzadko pijał szampana i to w minimalnych dozach.

Papa z namaszczeniem otworzył z hukiem butelkę i nalał w szklanki perlistego płynu.

— Żeby nam się dobrze działo! wzniósł toast papa.

Młodzian wypił duszkiem. Mama ledwo ustami dotknęła szklanki. W myśli obliczyła, że jedna szklanka wypada prawie po 1 marce i to ją wzburzyło.

— Taki bałwan pije to sobie, jak wodę przeczyszczającą, duszkiem. Co to za młodzież! Takiego trzeba szampanem rozpalać do dziewczyny!

Wkrótce po pierwszej butelce poszła druga. Młodzian powesełał, stał się rozmowny. Papa również nabrał humoru.

— Dobrze idzie w gardło! mówił do siebie! Co to, panie, gadać! Ja sam czuję się o 20 lat młodszy i żeby tak jaka łania...

Pan Józef zaiskrzonym wzrokiem wpatrywał się w falujące łono panny. Wniósł nawet dość zręcznie jej zdrowie.

Parę razy już, chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymywał. Papa wciąż podlewał szampana. Mama z rozpaczą myślała, że trzecia butelka się kończy.

— Wypije taki błazen za 45 marek szampana i gotów się nie oświadczyć. No, chyba bym go ze schodów zrzuciła!

Papa tymczasem zapomniał o wszystkiem. Nucił sobie półgłosem, aż go zgromiła małżonka jadowitym wzrokiem. Papa westchnął:

— Było się kiedyś młodym!

Nagle pan Józef zwrócił się do papy:

— Proszę pana... ja chciałbym... chciałbym panu coś powiedzieć... w cztery oczy...

— Nareszcie! szepnęła mama. Chodź, Wero, panowie mają ze sobą do pomówienia.

Papa otworzył czwartą butelkę i napełnił szklanki.

— No, raz kozie śmierć — wykrzyknął.

— Ja chciałem... chciałem... z panem na osobności... zupełnie na osobności bez świadków... — bełkotał pan Józef.

— Aha, rozumiem. Chodzi panu o to, czy baby nie podsłuchują? Zaraz!

I otworzył gwałtownie drzwi, z poza których odskoczyła głowa pani domu.

— Poszły baby spać! wrzasnął pan Szczyglikowski. My tu interes, panie, na osobności... A teraz mów młodzieńcze.

— Ja... ja do pana z zaufaniem, jak do rodzonego ojca...

— Jak do ojca? młodzian znalazł się w objęciach pana Szczyglikowskiego. Pij i mów! Jak ojciec powiem... uczciwie, sprawiedliwie...

— Uczciwie? Pan doświadczony... ojciec rodziny... mąż...

— Mąż! Tak, mąż! Mąż panem domu, a babę niech piorun spali, bo podsłuchuje pode drzwiami. Nas! Nas... szelma podsłuchuje! Mówię ci, jak rodzony ojciec, nie żeń się nigdy! Wszystkie baby dyabła warte!

— Wszystkie? A... a panna Weronika?

— Wszystkie! Myślisz, że choć córka? Uczciwie mówię! nie żeń się nigdy. Baba na karku ho, ho! A chociaż to rodzona córka... pół dnia przed lustrem, w głowie pstro, a gada, gada... wdała się w matkę... Chciałeś uczciwej rady — nie żeń się nigdy. Nasze kawalerskie!

W drzwiach pokazała się głowa pani domu.

— Ty... ty... opoju! Zbrodniarzu!

— Precz baby! Ja... jak rodzony ojciec!

Padła butelka pode drzwiami, rzucona ręką pana Szczyglikowskiego.

Chociaż my ta!...

Chociaż my ta nie uczeni,
Nie z kultury i matury,
Jednak nasza piosnka dzwoni,
Jak skowroncza, ponad chmury...
Chociaż my ta są prostacy,
A dłoń czarna i zgrubiała;
Pierś zgorzała znojem pracy,
Lecz w niej piosnka czuła, biała...
Chociaż my ta nie bogaci,
Czasem braknie chleba, soli;
Jednakbyśmy z naszych braci
Wzięli na się, co ich boli...
Chociaż my ta, Bracie-druhu!
Z antenatów herb: siermięga!
Twardzi w pracy, twardzi w duchu,
I przyszłości w nas potęga...
Choćmy tacy, lecz szczęśliwi,
Dumni z naszej chłopskiej dłoni,
Co Ojczyznę „broni, żywi“
I piosenkę w świat uroni...

Jantek z Bugaja.

REKLAMA.

Z największą przyjemnością — pisze pewien pisarz szwajcarski — czytuję w gazetach ogłoszenia. Autorowie ich nie mają pretensyi do honoraryów, sami płacą za swoje prace. Z literackiego stanowiska należy szczególnie podnieść z uznaniem rozmaitość stylu, tak gorąco zalecaną przez podręczniki dobrego pisania.

Wszystko zajmuje czytelnika i ułatwia mu wymowę. Błędy drukarskie są tu wykluczone, najmniejszy z nich mógłby obalić wartość całego ogłoszenia. Po zażartej polemice, złośliwych posądzeniach, okrutnej ironii stronic poprzednich znajdujemy się na stronicy z ogłoszeniami, jak gdyby wśród błogiej orzeźwiającej zieleni oazy; co więcej — w zwalczających się nawzajem gazetach, spotykamy na tej stronie zupełną zgodę i wzruszającą harmonię.

Najbardziej cenię ogłoszenia (?) za ich niewzruszenie optymistyczny światopogląd. Jeżeli dotychczas widzieliśmy niewygodne, lub niezdrowe mieszkania, napotykaliśmy niewiernych i leniwych służących, tępe, lecz pretensyonalne guwernatki, nieudolnych i źle wychowanych urzędników, bezwartościowe lub szkodliwe środki lecznicze, słyszeliśmy o nieczystych interesach, o przedsiębiorstwach skazanych na nieuchronne bankructwo, lub o nieszczęśliwych małżeństwach, — to przeczytanie ogłoszeń przeniesie nas w jakiś świat lepszy i napełni podziwem dla ludzkości. Wszystkie domy w ogłoszeniach są pięknie położone, przestronne i leżą blisko miasta, a jednak na wsi. Wszelkie wolne posady są przyjemne, łatwe i dobrze płatne. Wszyscy urzędnicy są poważni, uczciwi i zdolni; mają skromne wymagania, władają co najmniej trzema językami, mają pyszne świadectwa, wytworne obejście i — poszukują posady. Pracodawcy przyrzekają swym przyszłym urzędnikom korzystne warunki przyjęcia, szybki awans i możliwość zyskownego przystąpienia do spółki. Wszystkie środki lecznice, są smaczne i tanie i przewyższają, o całe niebo, inne podobne wyroby.

Wszyscy kandydaci do stanu małżeńskiego posiadają rzadkie i cenne zalety, miłą powierzchowność i dobre stanowisko. Piszą oni wdzięcznym stylem i oznajmienia ich o zamierzonej zmianie stanu wolnego na małżeń-

ski czyta się z przyjemnością. Wszyscy pedagodzy są wytrawni, kasyerzy wierni, wdowcy niepocieszeni, małżonki cnotliwe, a konie najczystszej rasy. Dozorczynie chorych są równie pełne doświadczenia jak poświęcenia, życie w pensyonatach jest wygodne i swojskie.

Oliwa posiada gwarantowaną czystość, lampy naftowe nie kopcą, a wszystkie choroby, nie wyłączając starości, mogą być radykalnie wyleczone w przeciągu krótkiego czasu.

Ale i w świecie ogłoszeń nie zawsze panują tak rajskie stosunki, gdyż i tu nie brak ostrzeżeń, groźb i ataków wszelkiego rodzaju, skierowanych, już to pod adresem konkurentów, już też publiczności. „Ostrzega się przed nadużyciem, które będzie sądownie ścigane.“ Zdanie to brzmi tem śmieszniej, jeżeli, z pogróżkami przeciwko naśladownictwom, — występuje samo naśladownictwo.

Głównym przedmiotem ogłoszeń są towary apteczne, bądź woda do zębów, czy włosów, lub środek przeczyszczający, bądź też herbata do odświeżenia krwi lub jakiś pancerz niezawodny przeciwko gruźlicy, niedokrwistości i przeziębieniu.

Czego tutaj reklama dokazała, jest wprost podziwu godne, a fakt, że przybiera ona coraz większe rozmiary, i ze „uniwersalne środki,“ coraz bardziej się mnożą, świadczy z jednej strony o tem, jak chorą i wyglądającą pomocy jest ludzkość, a z drugiej — jak jest łatwowierną.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 18-go czerwca 1399 śmierć Jadwigi. — 1799 legion polski w bitwie pod Trebią.

Dnia 19-go czerwca 1205 świetne pod Zawichostem zwycięstwo nad Romanem, księciem halickim. — 1831 bitwa pod Wilnem.

Dnia 20-go czerwca 1229 śmierć Jana Odrowąża, biskupa krakowskiego. — 1566 urodzenie Zygmunta III. — 1605 Dymitr uroczyście do Moskwy przez Polaków wprowadzony. — 1624 rozproszenie Tatarów na polach Pławnickich. — 1734 Stanisław Leszczyński uchodzi do Gdańska. — 1768 Moskwa zdobywa Bar i Berdyczów. — 1769 bitwa pod Słonimem.

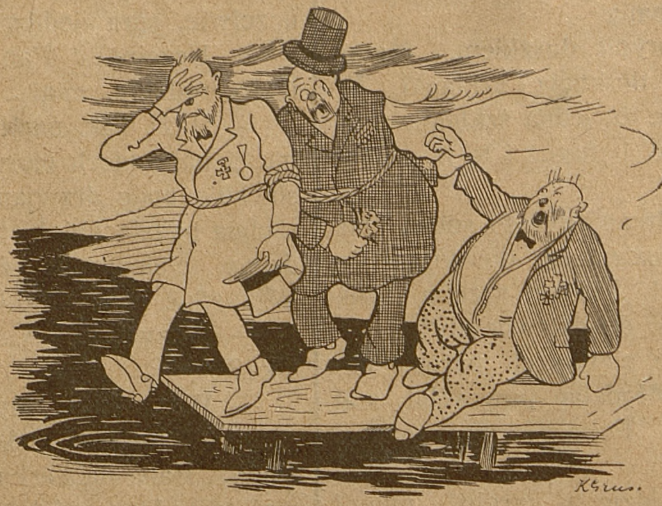
Dnia 21-go czerwca 1574 stronnicy senatorowie tłumaczą ucieczkę króla. — 1791 Fryderyk II. zapewnia przyjaźń Polsce. — 1736 uroczysty wjazd Augusta III. do Warszawy.

Dnia 22-go czerwca 1264 zniesienie zupełne Jadźwingów. — 1383 stronnicy Jadwigi zajmują Gębice. — 1387 hołd księcia Skiergiełły. — 1698 przymierze w Rawie przeciw Szwecyi między Augustem II. a carem Piotrem.

Dnia 23-go czerwca 1576 Stefan Batory formuje gwardyę nadworną. — 1601 pobicie Szwedów pod Kokenhausen. — 1767 konfederacya radomska. — 1818 pogrzeb Kościuszki w Krakowie.

Dnia 24-go czerwca 972 bitwa pod Cydynem męztwem brata królewskiego Cydebura zyskana. — 1305 śmierć Wacława, króla czeskiego i polskiego. —1394 hołd Pomorczyków. — 1607 Zebrzydowski ze stronnikami ogłasza bezkrólewie. — 1768 rzeź humańska.

Samobójstwa w Niemczech.



Mania samobójcza rozszerzywszy się w sposób straszliwy pomiędzy żakami szkolnymi przechodzi powoli i w inne warstwy niemieckiego społeczeństwa. Zwłaszcza pomiędzy członkami ostmarkenfereinu zachodzi wskutek małego zastoju antypolskiego dużo samobójstw. Samobójcy śpiewając hymny narodowe i wrzeszcząc hura, rzucają się gromadnie do rzek i jezior. Ostmarkenferein obawia się o utratę wszystkich swych członków. Taką właśnie wstrząsającą chwilę przedstawia powyższa rycina.

Z kulturnych Prus.



Pan landrat wyjechał do wód. Aby wskutek jego nieobecności nie traciła powaga jego na wartości, urządził się w sposób powyższy.

Humor i satyra.

Zrozumiał.

— „Słuchaj, chłopcze, mej rady —
Tak wnukowi dziad powie —
A pamiętaj, że zawsze
Dobrze radzą dziadowie:
Zważaj, co dziad powiada,
Każda pójdzie ci rada
Na zdrowie.

Zatem: chroń się kochania,
Miłość wiedzie ku zgubie —
I jam lubił dziewczęta,
Dziś już żadnej nie lubię.
Teraz prawdę wiedz szczerą,
Byś nie poznał dopiero...
Po ślubie.

Bo, mój chłopcze, już jesteś
W takim właśnie dziś wieku,
W którym piosnka, kwiat czasem,
Budzą serce w człowieku.
Lecz, by ciche mieć dzionki,
Zawieś wszystkie te mrzonki
Na ćwieku.

A więc nie wiesz dziewczynie,
Co ma czarny włos, oczy —
Bo cię zdusi czarami,
Krwi z pod serca utoczy...
I gdy myślisz, żeś zbratan
Z aniołami... z niej szatan
Wyskoczy.

I unikaj dziewoi,
Z której patrzą niebiosa —
Włosy mają lnu barwę,
Wciąż na rzęsach drży rosa —
Niby będzie ci siostrą,
Lecz podetnie cię ostro,
Jak kosa!...

I nie zbliżaj się, chłopcze —
Może słowa to dziwne —

Do tej, co ma włos rudy,
Której oczy są piwne:
Wszystkie one jednakie,
A wydają się takie
Naiwne!...“

Wyszedł chłopiec od dziadka,
Medytować zaczyna.
— „Cóż?“ — dziad pyta. — Wnuk milczy...
Pewnie kręcić zaczyna...
A więc palnął doń mowę:
— „Ej! już wlazła ci w głowę
Dziewczyna?“

— „Broń mię Jezu! Pamiętam
Każde słowo rad dziadka —
Ot, com znalazł: włos czarny,
Oczy barwy bławatka,
A brwi rude. Nic złego
Taką kochać... do tego —
Mężatka!...“

Kazimierz Gliński.

* * *

Wszystko możliwe.

— Pamiętaj Zosiu, że dwóch rzeczy nie można naraz robić.

— Gdzie tam, mamo. Ja mogę Jasia równocześnie całować w twarz i szczypać w kolano. Jedno drugiemu wcale nie przeszkadza.

* * *

Na lekcyi zoologii.

— Słonia bardzo łatwo można rozpoznać, bo z przodu i z tyłu ma ogon, ten z przodu nazywają także trąbą.

* * *

Dwa języki.

Raz ktoś spytał profesora,
Czy prawdziwa jest wieść w tłumie,
Że z wszystkiemi językami
Radę sobie dawać umie?

W odpowiedzi kiwnął głową,
„To jest panie proces gładki:
Tylko dwa mi robią trudność:
Język żony i jej matki!“

* * *

Wie dlaczego.

— Chodź no tu, Jasiu, i powiedz mi, czy ty wiesz dlaczego cię znowu muszę przetrzepać?

— Wiem, tatku. Dlatego, że jestem słabszym. W przeciwnym razie nie miałbyś tyle odwagi. e

* * *

Bezczelność żebraka.

—Macie tutaj ubranie po moim ś. p. mężu. O ile mi się zdaje, będzie ono dla was zupełnie odpowiedniem, macie bowiem taką samą figurę, jak nieboszczyk!

— Czy jest może więcej tych ubrań?

— Tak! Dlaczego się pytacie?

— Bo myślę sobie, że może byłoby wobec tego wskazanem, — bym się z panią ożenił!

Urywek z mowy „patryotycznej“ teutońskiego ludożercy.



Nasz jest ten kraj i naszą ziemia, zdobyta pruską pięścią żelazną, a nie opuścimy jej choćby nam przyszło wylać za nią w gardło — ostatni kufel piwa!

Szarada.

Ułożył czytelnik „Pracy“ p. Michał Kopacz, student praw z Jodłowej w Galicyi.

Pierwsze i drugie dostarcza napoju
Ludziom codziennie, rzeźwi ich z upicia;
Pierwsze i trzecie w czasach niepokoju
Władcami w państwie są śmierci i życia;
Drugie i trzecie opatrują rany;
Czwarte i drugie jest w każdym kościele,
Tworzą ją w większej części jego ściany;
Na trzeciem — pierwszem wspierają się chmiele;
Całość — spokojny, śpiewny twór muzyczny
I znany u nas, chociaż zagraniczny.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia *22* go czerwca włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie tak szarady jak też znaczenia wyrazów.

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w numerze *23*-im:

S	a	n
ł	z	y
z	ł	y
ć	m	a
o	d	a
c	n	o
k	t	o
i	w	y
i	n	n
a	c	h
b	e	z

Szymonowicz.

Trafne rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 8-go b. m włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA: p. Wanda Malinowska.

Z PROWINCYI: pp. Wolniewiczówny z Kostrzyna, Ada Drecka z Miłosławia, Jadwiga Scholz i Łucyan Beutlich z Wrześni, Helena Marecka z Kościana, Fr. Kulesza ze Szamotuł, Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, Konstancya Kołańczyk z Kowalewa pod Pleszewem, Stanisława Pietrzak ze Strzyżewa kościelnego pod Gnieznem, Stanisław Konieczny z Żelic w powiecie wągrowieckim.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. H. Gniatczyńska z Torunia, Jul. Wiszniewski z Jażwisk.

ZE ŚLĄSKA PRUSKIEGO: pp. Wiktorya Gąsiorowska z Wrocławia, Ludwik i Anna Roter z Bobrku, F. Musialik z Rozbarku, W. Kłoda z Mokrego pod Mikołowem, Emanuel Strzelczyk z Karbu pod Bytomiem, B. Badura z Rożdzienia,

ZE ŚLĄSKA AUSTRYACKIEGO: pp. Edward Gloss z Rapicy, Stefania Malinowska z Jabłonkowa.

Z GALICYI: pp. G. Ochenduszkowa z Liska Jan Wąchal z Rudawy, W. Priefer z Niegoszewic, Jan Krzyszkowski z Kałuszu.

Z OBCZYZNY: pp. Michał Kuliński z Lipska, Stefania Dużyńska z Neu-Welzow i J. Grzankowski z Osterfeldu.

Nagrodę otrzymali: pp. Helena Marecka z Kościana, Edward Gloss z Rapicy na Śląsku austryackim i J. Grzankowski z Osterfeldu na obczyźnie.

NASZ KĄCIK.

Cześć Sokołom cześć!

W prawo zwrot, w lewo zwrot,
Hops przez rów, hops przez płot,
Raz, dwa, trzy, no i już,
Bom ja zuch, a nie tchódz!

Baczność, hej, naprzód krok,
W niebo trza podnieść wzrok,
Prosto stać, czoło wznieść:
„Hej, Sokołom cześć, cześć, cześć!“

Gdy dziecięce latka miną,
Będę ćwiczył wraz z drużyną:
„Czołem druhy, czołem, czołem
I ja będę też Sokołem!“

Do waszego wstąpię grona
I wyprężę tak ramiona,
Będę silny, mocny, żwawy,
Do pracy i do zabawy.

Polska krew w żyłach wre,
Polsko ma, kocham cię,
Służyć ci pragnę wciąż,
Jam twój syn, dzielny mąż.

W prawo zwrot, hops przez rów!
Ja chcę być silny, zdrów,
Prosto stać i trud znieść,
Hej Sokołom cześć, cześć, cześć!

P. W.

* * *

Czerwony zeszycik.
(Mój dzienniczek).
(Ciąg dalszy).

Mokoszyn, 27. 7. 10 r. Wieczorem.

Po podwieczorku wyszliśmy z ciocią na przechadzkę, chciałem iść koło cioci, żeby jakoś tę sprawę załagodzić, ale Halszka jak naprzykrzona mucha ciągle się przy nas uwijała i przeszkadzała mi, więc jej dałem klapsa, ale naprawdę tylko bardzo lekkiego klapsika przez rączkę, a ona zaraz w płacz i pokazuje ją cioci. Ciocia usiadła przy drodze i pieściła ją i tuliła, a mnie kazała za karę zaraz sememu do domu powrócić. Czemu też to tak mi się wszystko na opak dzieje? Ale ciocia nie taka znów sroga i jak ją na dobranoc mocno uściskam i przeproszę, to będzie znów wszystko dobrze!

28. 7. 10 r.

Już znowu zgoda na trzy lata między ciocią i mną, a jednak..... Wiem, że p. Mieczysławowi nie będzie się to podobało, ale muszę się przyznać, ze ja naprawdę jestem trochę zazdrosny, bo zdaje mi się, że ciocia Halszkę więcej kocha niż mnie; tak ciągle z nią rozmawia i pieści. Ale bo też Halszka to takie ładne stworzonko z czernemi oczkami i buźką jak malinka, a ja taki jasnowłosy, blady wyrostek, jakby szparag zanadto wybujały. Wyższy już prawie jestem od cioci; ha, ha, ha, a to by ładnie było, żebym siadł cioci na kolana, jak to Halszka często robi. Nic, nie, nie trzeba być zazdrosnym!

30. 7. 10. r.

Wczoraj tatuś wrócił z Warszawy. Mamusia ani mru-mru, a nawet moja dobra siostrzyczka, choć ma taki długi języczek, nic też o mojej przygodzie z warkoczykiem tatce nie powiedziała, ale i tak wczorajszy dzień był dla mnie sądnym dniem. No, ale muszę wszystko po kolei napisać. Tatuś wróciwszy do domu, rozpakował trochę rzeczy i potem poszedł na podwieczorek. (Były też i karmelki, ale ja za karę ich nie dostałem i tylko Halszka w sekrecie jeden mi do buzi włożyła). Zostałem sam w sypialnym pokoju, patrzę, leży na stole nowiuteńki błyszczący rewolwer, zapomniałem o przestrogach tatusia i schwyciłem go. Myślałem, że nie nabity, stanąłem naprzeciw zwierciadła i tak na niby wycelowałem. Paf! Rozległ się okropny huk i piękne lustro w gotowalni mamusi roztrzaskało się w drobne kawałki, a ja ze strachu broń z ręki wypuściłem. Tatuś aż blady z przerażenia wbiegł do pokoju, jedną ręką schwycił mnie za kołnierz, drugą wziął stojący w kącie pręt od konnej jazdy, no i wiadomo co się dalej działo, ale już wolę o tem nie pisać, bo bolało bardzo, bardzo, a jeszcze gorszy od bólu to wstyd przed służbą. Schowałem się potem w kancelaryi za tatusiowem biurkiem i tam siedziałem skryty w kąciku, nie wiedząc sam co robić. Wtem usłyszałem jak w sypialnym pokoju mamusia kochana pytała tatki, czy mnie aby zbyt mocno nie wybił, a tatuś cały jeszcze wzburzony mówił o tem jakie to nieszczęścia wynikają z tego, gdy dzieci broń biorą do ręki, i że gdy mamusia ma za wrażliwe serce, to tatuś w karceniu musi ją wyręczyć i przytoczył tatuś wiersz biskupa i bajkopisarza Ignacego Krasickiego. Słuchałem go uważnie i umiem już na pamięć.

„Różdżką Duch święty dziateczki bić radzi.
Różdżka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi.
Różdżka choć bije nie połamie kości,
A broni dziatki od wszelakiej złości.
Różdżka napędzi rozumu do głowy,
Uczy pacierza, a broni złej mowy.
Różdżką, gdy matka dziecię będzie siekła,
Wybawi pewnie duszę jego z piekła;
Matka, co rózgi na dziecię żałuje,
Serdecznie za to w piekle pokutuje!“

O, nie, nie, nigdy w życiu i za nic bym nie chciał, żeby moja kochana mamusia miała przezemnie w piekle pokutować, już sto razy wolę w skórę dostać! No, i kiedy taki mądry i uczony człowiek jak ks. biskup Krasicki tak sądził, to pewnie, że to prawda, i że rózga, to nie wróg, lecz życzliwa nauczycielka i rodzice karcą nas nią nie dla swojej przyjemności, tylko dla naszego dobra. Tak sobie pomyślałem, wyszedłem z mego kąta, ucałowałem ręce rodziców, przeprosiłem ich i już wszystko zapomniane i darowane.

2. 8. 10. r.

O, jakże się cieszę! Marcin już wyciągnął z wozowni krakowski wózek i razem z Błażejem stelmachem oglądają go i radzą nad jego odświeżeniem i naprawą przed drogą. Lepiej i wygodniej byłoby jechać powozem, ale tatuś powiada, że żaden powóz by takiej ciężkiej i dalekiej drogi nie wytrzymał. Wózek jest na resorach i bardzo pakowny, więc i tak nam będzie dobrze!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzi.

Irenka Mrówczyńska. Poznań. Widoczek Czerniejewa bardzo ładny, nie dziwię się, że lubisz tam przebywać. Czy na wielkie wakacye także pojedziesz do wujostwa? Irenka Koperska. Kostrzyn. Dziękuję ci Irenko serdecznie za życzenia świąteczne i drugą kartkę. Cieszę się bardzo, że zastosowałaś się znowu do rad w „Kącika,“ i że się tak dobrze w czasie świąt zabawiłaś, teraz za to tem pilniej pewnie wypełniasz codzienne zajęcia, prawda? Maryś i Czesio Woźny. Kostrzyn. Ucieszyły mnie chłopczyki wasze życzenia, a jeszcze więcej opis uroczystości sokolskich i ja także widziałam je i cieszyłam się niemi. W przyszłości wstąpicie też pewnie do tej dzielnej drużyny, prawda? Tym czasem nauczcie się podanego tu wierszyka! Pisząc do Kasi, do Liebenthalu pozdrówcie ją odemnie, a w czasie wakacyi niech także pisuje liściki do „Kącika.“ Wszystkie drogie dzieci całuje z całego serca ich prawdziwa przyjaciółka.

Paula Wężyk.

Z pamiętnika Kasi.

Z angielskiego tłum. **M. P.**

1)

ROZDZIAŁ I.

„Gdy umrę, chciałabym być pochowaną w cieniu tego starego, wspaniałego klonu na naszym wiejskim cmentarzu. W korze starego klonu wykroiłyśmy niegdyś z Milą nasze imiona i to moim starym, zardzewiałym scyzorykiem. Zrzekam się chętnie miejsca w naszym grobowcu familijnym, nie chcę się zmienić w proch pomiędzy spleśniałym pradziadkiem i w pył zamienioną praprababką. Za życia pragnie każdy mieć własny pokój, czemu więc też i nie po śmierci? A Mila — jeżeli mnie przeżyje, czego nie pragnę, lecz czego się lękam, musi na grobie moim zasadzić mnóstwo róż, gwoździków i narcyzów — będę wtedy spała mocno i żaden sen nie przerwie mego spokoju."

Wszystko to mówiłam sama do siebie, nikt mi więc zaprzeczyć nie mógł. Podczas tego monologu oparłam rękawy mej starej, znoszonej, perkalowej sukni na nizkim murze, dzielącym cmentarz od naszej wielkiej łąki i patrzałam w jasne, pogodne niebo. Był to uroczy dzień w uroczym miesiącu maju, słońce chyliło się ku zachodowi, leciutki wietrzyk poruszał liście i trawki, i całe powietrze przesiąkłe było wonią świeżości i zieleni. Drzewa cicho szumiały — opowiadały sobie zapewne o tem, jak bardzo kochają wiosnę i blask słońca.

Nasz cmentarz był miejscem najgłębszego spokoju, nic nie wzbudzało tu ponurych i smutnych myśli. Nie myślało się ani o kościotrupach, ani o robakach — wszystko tchnęło tu jasnością i pewną nawet wesołością. Po śmierci nikt o to nie pyta, gdzie ciało spocznie, dopóki jednak trumna nasza jest zielonem jeszcze w lesie drzewem, ma się rzecz zupełnie inaczej. Wtedy życzymy sobie ciche, w cieniu drzew i kwiatami zasłane miejsce odpoczynku i myślimy, że woń kwiatów musi dojść do nas, i że ciepłe promienie słońca jeszcze nas ogrzewać będą. Myślimy, że śpiew ptasząt, mieszkających na drzewie nad naszym grobem rozraduje ucho nasze, i z wstrętem myślimy o zimnej, pustej mogile, nie zakrytej ani mchem, ani kwiatami.

Ramiona zesztywniały mi tymczasem zupełnie na twardym murze i nieprzyjemne to uczucie zbudziło mnie z zadumy.

— Chciałabym być na cmentarzu, — rzekłam znów sama do siebie. — Mogłabym tam siedzieć tak wygodnie na pomniku pani Barlow i możebym nawet potrafiła elegię jaką ułożyć. Gdyby tu Mila była, powiedziałaby że nie wypada, aby młoda lady przechodziła przez mur, lecz Mili tu nie ma, a zatem, czy wypada, czy nie — hop! Nikt mnie nie zobaczy!

Przeszłam więc przez mur i zaraz potem siedziałam na nizkim pomniku pani Barlow. Napisy na sąsiednich grobowcach czytałam przynajmniej z tysiąc razy, są one prawie zawsze równe, to też nie zwracałam dziś na nie żadnej uwagi. Siedziałam zamyślona, zasłuchana w świergot ptaszków, gdy nagle usłyszałam skrzypnięcie drzwi cmentarnych. Obróciłam się i w półzmroku poznałam, że wchodzącym był — mężczyzna. Nie był to stary grabarz, który za nic w świecie nie byłby wieczorem szedł na cmentarz z obawy nabawienia się reumatyzmu — nie był to też ani proboszcz ani jeden z jego wikaryuszów żaden z nich bowiem nie był dosyć sentymentalnym, aby o tym czasie chodzić na cmentarz. I nawet w półcieniu, panującym tutaj teraz, wystarczało jedno spojrzenie, aby poznać, że mężczyzna ten był wytwornym i bardzo przystojnym. Stał na ścieżce wiodącej do kościoła, miał zgasłego papierosa w ustach i patrzał uważnie na grobowce i pomniki. Mnie jeszcze nie zauważył dotąd.

Zdaje mi się zawsze, że jestem szpiegiem, jeżeli się znajduję w blizkości kogoś, nie widzącego mnie. Dla tego zakaszlałam teraz lekko, chcąc, aby nieznajomy wiedział o mojej obecności. Nie śmiałam jednak potem spojrzeć na niego chociaż byłabym się chętnie chciała przekonać, jakie wrażenie wywarło na mnie moje kaszlnięcie. Przypuszczam, że wrażenie było niewielkie, bo przechodząc koło pomnika, na którym siedziałam, nie zdawał się wcale być zdziwiony moją obecnością.

— Jak on wygląda? — pytałam się w duszy z całą ciekawością moich dziewiętnastu lat.

— Co ci do tego? — szepnęło dobre wychowanie.

— Bardzo bym chciała wiedzieć, — odrzekła ciekawość. — Muszę raz chociaż na niego spojrzeć!

I spojrzałam. Gdy przechodził tuż koło mnie, podniosłam oczy ku niemu — i spojrzenia nasze spotkały się. Oczy jego żadnej nie wyrażały ciekawości — nie patrzał też wcale na mnie z takim zachwytem, z jakim zwykle bohater powieści patrzy na kobietę, gdy ją po raz pierwszy w życiu spotyka, a która potem łamie jego serce, albo sama pada ofiarą swej miłości. Spojrzenie to było obojętne, a oczy jego, ciemne i wyraziste zdawały się pytać:

— Jesteś ładną?

I więcej nic!

Nierozsądna jak zawsze, zarumieniłam się gwałtownie. Czoło, twarz, szyja — wszystko stało się ciemno czerwonem, i czemu? Tego do dziś jeszcze nie wiem. Przez chwilę zdawało mi się, że usta nieznajomego, małym ocienione wąsem, uśmiechnęły się lekko, ale może mi się to tylko zdawało.

Nie zatrzymując się, poszedł dalej i usiadł także na kamieniu jakiegoś grobowca. Na mnie żadnej nie zwracał uwagi. Śmieszność naszego położenia wnet mi się ujawniła — dwoje ludzi, siedzących w niewielkiej od siebie odległości, oboje na pomnikach, i milczących zawzięcie. Czułam, że wybuchnę śmiechem jeżeli tak długo jeszcze siedzieć będziemy, chociaż wiedziałam, że śmiać się wcale nie wypadało. Że zaś późno już było, przeto wstałam, i szłam ku bramie. Lecz zanim zdołałam położyć rękę na klamce, usłyszałam za sobą dźwięczny, męski głos:

— Pozwól pani!

I nieznajomy otworzył bramę. Potem zdjął kapelusz, przyczem ujrzałam bujne jego ciemne włosy, i uśmiechnął się.

— Dziękuję panu, — wyjąkałam niewyraźnie i ukłoniłam się tak niezgrabnie, że przydepłam sobie nawet suknię. Z tego powodu stał się ukłon mój o wiele niższym, niż się należało, ale ja przynajmniej nie upadłam i sukni nie rozdarłam.

ROZDZIAŁ II.

Pomimo, że biegłam przez całą prawie drogę ile mi sił starczyło, wydzwonił zegar kościelny już dziesiątą, gdy stanęłam pod ciężką, dębową, dzikiemi różami i bluszczem obrosłą bramą naszego domu. Posiadaliśmy obszerny dom, lecz nie byliśmy wcale bogatymi. Pod względem majątkowym upadaliśmy coraz to niżej. Przybyliśmy do Anglii z Wilhelmem zdobywcą i przelewaliśmy strumieniami krew naszą z Ryszardem Lwie Serce w Ziemi Świętej. Henryk VIII dał nam rozliczne opactwa, mieliśmy dużo pieniędzy, fortuna uśmiechała nam się przez długie lata, ale niestety! Fortuna potoczyła się kołem, i w ostatnich stu latach topniały nasze majątki na zakłady, konie, i tym podobne kosztowne namiętności. Tysiące zamieniły się na setki, setki na dziesiątki i nasze dobra przeszły w ręce dorobkiewiczów. Stary biedny nasz dom w opłakanym znajdował się stanie a pieniędzy nie było na uratowanie go od kompletnej ruiny.

Stanąwszy więc przy drzwiach, wsunęłam prędko twarz pomiędzy wonne i świeże kwiaty i potem dopiero weszłam do sieni. Wieczorem było tu zawsze bardzo ponuro i niemiło, ogromna sień — ciemna i brzydka. Słabe światełko jedynej świeczki dziwne rzucało cienie na posadzkę i dębowem, rzeźbionem drzewem pokryte ściany. Znajdowały się tam przeróżne herby, jako dowód świetnych naszych koligacyj. Oprócz tego były tu głowy jelenie z martwemi szklanemi oczami, stare, uszkodzone portrety familijne i na stole biblia rodzinna, z której rano i wieczorem czytałam służbie uroczyście jeden rozdział. Gdy weszłam, potknęłam się o starego, kulawego mężczyznę, odpowiadającego pod każdym względem całemu otoczeniu, a pełniącego u nas obowiązki kamerdynera, służącego, stangreta, odźwiernego i ogrodowego.

— Herbata na stole — rzekł, wychodząc z ciemności.

— Tak? — odpowiedziałam bezmyślnie, gładząc moje rozrzucone, czerwone kędziory. I nie chcąc, aby ojciec dłużej czekał na mnie, pobiegłam pędem, bez względu na moją tualetę, do jadalnego pokoju i zeskoczyłam od razu z trzech stopni, tuż przed stół.

Pokój jadalny był równie obszerny i ciemny, jak przedsionek, tylko jeszcze więcej miał rzeźb dębowych bardziej jeszcze uszkodzonych. I tu wisiało mnóstwo portretów familijnych, a twarze moich przodków, czarnemi otoczone ramami, zdawały się patrzeć na mnie gniewnie i groźnie. Ale piękne to były twarze — mianowicie kobiet. Familia Le Strange słynęła zawsze z urody — widać to rzeczywiście było na wszystkich prawie portretach. Stół na środku pokoju nakryty był na dwie osoby i zaopatrzony skąpo w światło, a w potrawy — jeszcze skąpiej.

Mój ojciec siedział pochylony w swym starym fotelu i zakrywał twarz ręką białą i prawdziwie arystokratyczną. Nie potrzeba było długo patrzeć na niego, aby poznać, że to człowiek złamany troskami i kłopotami. Życie jego nie było wesołem. Cierpiał ogromnie nad swym upadkiem majątkowym, a nie potrafił i nie mógł temu zapobiedz. On i rodzina jego byli teraz ostatnimi tam, gdzie przodkowie jego dawniej pierwsze zajmowali miejsce, i to martwiło go niezmiernie. Lecz wobec ludzi był zawsze dumny i ukrywał starannie swoje uczucia i naszą — biedę.

Zbliżyłam się zaraz do niego i zawołałam wesoło:

— Herbata pewnie już ostygła — papa jest w złym humorze i dostanę burę, nieprawda?

Pochyliłam się przytem i ucałowałam serdecznie jego śliczne, białe włosy.

— Co? — rzekł, jak gdyby się ze snu obudził. — Ach Kasio, ja o tobie zupełnie zapomniałem!

— A co mogło zatrzeć tak przyjemny obraz w twej pamięci? — zapytałam, śmiejąc się.

— To, co zawsze każdy przyjemny zaciera obraz, — odpowiedział ponuro.

— Rachunki pewnie, rachunki, rachunki! Zawsze ta sama piosenka, od rana do wieczora! Czy istnieje inne jakie słowo, któreby wywoływało tyle wstrętnych myśli?

— Żadne, oprócz piekła, — odrzekł ojciec z gorzkim uśmiechem, — i czasem zdaje mi się, że słowa te są sobie pokrewne.

— Papo drogi, słuchaj mojej rady i nie dręcz się tyle, nie zważaj na rachunki! Mamy siebie nawzajem, mamy powietrze i blask słońca, czemu nie możemy być szczęśliwymi?

Ale ojciec potrząsnął smutnie głową.

— Dobrze ci tak mówić, Kasio — troski jednak nie pozwalają się tak łatwo usuwać, jak myślisz.

— Papo, — rzekłam siadając przy stole, — czy nie stoi w piśmie świętem, że każdy dzień ma dosyć swej troski?

— Tak, ale stoi tam także, że każdy człowiek stworzony jest do znoszenia cierpienia. To sprawdza się na mnie!

I westchnął ciężko.

— Takiemi westchnieniami zgasisz świecę, papo! — rzekłam.

Ojciec zamilkł, ja także, ale tylko na kilka minut, w owym bowiem czasie nie posiadałam jeszcze talentu milczenia. Zaczęłam więc znowu:

— Opowiem ci coś, papo! Zejdź więc z obłoków, jeżeli się obecnie na nich myślami znajdujesz!

— Słucham uważnie!

— Muszę ci powiedzieć, że byłeś dziś taki nudny, że poszłam dla rozrywki na cmentarz.

— Więc umarli nie są nudni?

— Wcale nie — lubię ich towarzystwo, bo oni mi nie przeczą i nie kłócą się ze mną. Ale znalazłam tam jeszcze coś więcej, niż groby, zgadnij co?

— Kury, kaczki lub coś podobnego!

— Nie!

— Jaką starą kobietę?

— Nie!

— Ducha może?

— I to nie!

— W takim razie nie zgadnę, — odrzekł ojciec takim tonem, jak gdyby chciał powiedzieć: daj mi już święty spokój!

— Zgadnij dalej! — zawołałam.

— Ach, nieznośna dziewczyno! Zkądże mam wiedzieć, co tam zobaczyłaś! Może jakiego wieśniaka, albo coś równie zajmującego.

— Wcale nie! Otóż widziałam tam — mężczyznę!

— Jakiego mężczyznę? Starego Ikena?

— Jeżeli Iken jest wysokim, przystojnym i młodym blondynem i jeżeli w ogóle całą zmienił powierzchowność, w takim razie mógł to być on!

— Może to był John Barlow, który odwiedzał grób matki.

— Nie papo! Mój mężczyzna był gentlemanem, co się zowie. Wyglądał jak oficer, a ty i ja lubimy wojskowych, nieprawda?

— Ja przedewszystkiem lubię spokój, moje dziecko, i życzyłbym sobie, abyś wypiła herbatę i nie mówiła tyle! Może to był jeden z synów Burgoyna?

— Nie, znam ich, John jest kulawym, a Karol strasznie brzydkim! To zaś był człowiek wytworny i przystojny!

Ojciec uśmiechnął się.

— Szkoda, że nie wiemy, jak się nazywa, Kasio. Jak to dziwnie brzmiało. mój mężczyzna!

— A jak miałam powiedzieć, mój mąż? On pewnie nigdy mężem moim nie będzie. Ach papo, chciałabym się tak chętnie dowiedzieć, kto to jest! Nie masz pojęcia, jaki on ładny! Prawie taki piękny, jak ty, gdy się wystroisz w twe niedzielne ubranie!

— Ah, musi być rzeczywiście zachwycającym, — rzekł ojciec z szyderczym uśmiechem.

Ale ja myślałam tak doprawdy, w moich oczach był papa najpiękniejszym mężczyzną. Miłość nie widzi śladów starości i kłopotów na ukochanem obliczu, a ja kochałam ojca nad wszystko w świecie i wiedziałam, że i jego serce do mnie wyłącznie należy.

— Był to starszy człowiek? — zapytał po chwili. — Jeżeli tak, to trochę lepszego nabieram o nim wyobrażenia. Myślałem początkowo, że to jaki młodzik, który.....

— Wolę młodych, wesołych chłopców, niż starych, mrukliwych mężczyzn, ale do tych ciebie nie zaliczam jeszcze!

— Nie chciałem cię obrazić, Kasinko! Zamieniłbym się chętnie z każdym młokosem, zadowoliłbym się nawet odrobiną tylko rozumu — bylebym za to miał znowu młode, swobodne serce!

— Czy młodość zawsze jest szczęśliwą?

— Myślę, że — zawsze.

— W takim razie chciałabym umrzeć młodą!

I wyobrażam sobie zaraz, jak pięknym byłabym trupem, w białej sukni, cicha i blada. z złożonemi rękami i cała tonąca w białych kwiatach!

— Umrzesz wtedy, kiedy Pan Bóg zechce, najdroższe dziecko, szepnął ojciec drżącym z wzruszenia głosem. — Czy cię zabierze wnet i oszczędzi ci przykrości życia, tak jak to było u twej matki, czy każe ci walczyć ciężko z losem aż do późnej starości, tak jak to się u mnie dzieje — kto to wie? Niech wola Jego święta stanie się!

Po tych słowach ojciec wstał. Zbliżyłam się do niego, ujęłam jego rękę, i oboje niezmiernie wzruszeni, wyszliśmy z pokoju.

ROZDZIAŁ III.

Następny dzień, 18-go maja, był dla mnie dniem pamiętnym. Przez cały tydzień myślałam o tem częścią z niecierpliwem oczekiwaniem, częścią z potajemnym dziwnym strachem. Otóż po raz pierwszy byłam zaproszoną na wielki obiad. Pomimo moich lat dziewiętnastu nigdy jeszcze na takim obiedzie nie byłam. Raz tylko byłam na balu i od owego balu datowało się wszystko u mnie tak, jak Grecy obliczali czas od jednej Olimpiady do drugiej. Bal ten był w mojem dotychczasowem życiu najważniejszem zdarzeniem.

Moja siostra Mila, o cztery lata odemnie starsza, miała i ma zawsze zwyczaj usuwania mnie na ostatnie miejsce, czyni więc wszystko co może, abym kwitła jak fiołek w cieniu, ona sama natomiast kocha świat całem sercem. Czułam się zadowoloną w mej samotności, na którą mnie skazywała kochająca mnie siostra Mila, a że nie znałam przyjemności świata, przeto nie tęskniłam za niemi. Siedziałam w domu z moim kochanym, starym papą i przepędzałam całe godziny w naszym ogrodzie, zarosłym zielskiem — lecz ogród ten był mi o wiele milszym, niż wspaniałe klomby i trawniki w sąsiednich ogrodach, a nigdzie pewnie nie było tyle róż, gwoździków i lilij, jak u nas.

Przechadzałam się wolno w głównej alei — grube warkocze związałam w pęk i zapięłam wysoko, ubraną zaś byłam w starą i bardzo zniszczoną suknią Mili, za długą i za obszerną dla mnie. Czasem budziło się w mem sercu życzenie ubierania się tak strojnie jak Mila i używania wszelkich rozkoszy świata, ale raz tylko zaprotestowałam przeciwko memu odosobnieniu się od ludzi i zaraz pokłóciłam się z Milą na dobre. Kłótnia nasza skończyła się na tem, że wybuchłam płaczem, że przeprosiłam Milę i że poddałam się memu losowi.

— Dobrze jest tak jak jest, — powiedziałam sobie w duszy, myjąc twarz zimną wodą. — Mila jest piękną, musi więc urodę swoją pokazać światu. Ona familii naszej zaszczyt przynosi.

Wszystkie Le Strange były piękne, lecz ja byłam brzydką i nie wolno mi się było pokazywać. Byłam rzeczywiście tak bardzo brzydką?

Nie często, ale czasem nasuwało mi się to pytanie — mianowicie, gdy patrzałam na postać moją w źwierciadle. Postanowiłam zapytać Milę o jej zdanie. Mila nie była mi sympatyczną — życie z nią nie było łatwem, i chociaż była moją siostrą, to jednak nie kochałam jej wcale. Ale sąd jej pod względem dobrego gustu i piękności uważałam za kompetentny.

Pewnego poranku zimowego siedziałyśmy obie przy kominku, Mila w eleganckiej jasnoniebieskiej sukni, ja w starym jej szlafroczku. Światło z kominka opromieniało prześliczną twarz mej siostry, patrzałam na nią z zachwytem, lecz zarazem i z zazdrością. — Mila cudownie była piękną — miała drobną, pociągłą twarzyczkę, wielkie czarne oczy, słodkie, łagodne, umiejące patrzeć chwilami tak błagalnie, że nikt — to jest — żaden mężczyzna nie byłby się oparł czarowi tego spojrzenia. Nosek mały, zgrabny, usta wązkie, ładnie wykrojone i uśmiech anielskiej dobroci — taką była Mila! Każdy przysiągłby natychmiast, że życie jej ciągłą było modlitwą.

— Milo, — rzekłam, patrząc na nią z zachwytem, — chciałabym być tak piękną jak ty!

— Tak? — odpowiedziała, nie racząc nawet spojrzeć na mnie.

— Tak — prosiłabym Boga rano i wieczór o tak piękną twarz, ale modlitwa taka nie podobałaby się Bogu. Czemu Bóg obsypuje jednego tylu darami, a innemu nic nie daje? Czy kiedyś w niebie wynagrodzi to biednym brzydkim istotom?

— O to musisz zapytać pana Bowles.

Był to nasz pastor, którego się, nie wiem dla czego — ogromnie bałam.

— Milo, — szepnęłam z wyrzutem, — w ten sposób odpowiadasz zawsze na moje pytania, nie rozumiem sama siebie, że w ogóle jeszcze cię o coś pytam.

— A więc nie pytaj.

— Milo — zaczęłam po chwili nieśmiało, — czy ty myślisz, że, że.... ja..... że ja jestem...... bardzo brzydka?

— Nie namyślałam się jeszcze nigdy nad tem!

— Więc namyśl się teraz! Proszę cię o to Milo!

Mila obróciła się ku mnie i spojrzała mi w twarz swemi słodkiemi, czarnemi oczami.

— Ja — nie podziwiam cię, — odrzekła, — ale może być, że są ludzie, którym się podobasz, którzy lubią czerwone włosy i twarz pospolitą!

Poddałam się memu losowi. Byłam brzydką. Że więc nie mogłam się odznaczyć pięknością, przeto powinnam się

była odznaczyć czemś innem, dobrocią serca lub uczonością! I teraz wstydziłam się mego pytania.

W czasie, w którym to piszę, zaprosiła Milę jakaś stara, daleka krewna, i tylko nieobecności mej siostry zawdzięczam, że wprowadzono mnie w wielki świat jako dorosłą pannę. Ojciec i ja cieszyliśmy się zawsze bardzo, gdy Mila wyjechała chociaż nie przyznawaliśmy się do tego. Otwarcie mówiąc: nasza piękna i na pozór tak słodka Mila była dla nas prawdziwą plagą, czasem nawet myślałam zupełnie na seryo o tem, czy płakałabym wogóle, gdyby umarła. Właściwie wątpiłam o tem.

Ale ja sama stoję, pisząc to, nad grobem, a Mila żyje i jest wesołą i szczęśliwą. Mila będzie musiała przemocą wyciskać łzy z oczu i — tak, jestem przekonaną, że płakać będzie gorąco na moim pogrzebie.

ROZDZIAŁ IV.

Około siódmej wieczorem owego pamiętnego dnia, w którym miałam wejść po raz pierwszy w wielki świat, stałam, świątecznie ubrana, w moim pokoju przed lustrem, i patrzałam z złością na moje niesforne kędziory, z któremi sobie w żaden sposób rady dać nie mogłam. Teraz też rozległ się głos ojca:

— Kasio, powóz zajechał!

— Idę, papo! — zawołałam prawie ze łzami w oczach. Ach, jak brzydką była moja czerwona głowa z królującym na niej wieńcem białych róż! Ojciec zawołał mnie po raz drugi. Boże, gdzie rękawiczki?

— Idę, papo! — krzyknęłam.

Jaką ja mam brzydką twarz! Ale nie mogę tego zmienić, muszę iść! I pędem zbiegłam ze schodów.

Ojciec spojrzał na mnie zdumiony, lecz wcale nie zdawał się być zachwyconym.

— Nie znam się wprawdzie na tualetach, — rzekł, — ale czy suknia twoja nie jest za ciasną i za lichą?

— Jest ciasną, pomimo, że ją przedłużyłam i rozszerzyłam, ale muślin jest teraz bardzo drogi!

Stara, uprzejma twarz ojca zachmurzyła się.

— Gdybym to był wiedział poprzednio...

— Nie dręcz się, papo, — przerwałam, — założę się o niewiem co, że nikt nie zauważy mojej sukni.

Ale twarz mego ojca nie wypogodziła się wcale, przeciwnie, jeszcze się nawet stała chmurniejszą.

— Chciałbym cię widzieć dobrze ubraną, — rzekł, — nie życzę sobie, aby mówiono, że jestem zbyt biedny, abym mógł córkom moim kupić porządne suknie.

— Nikt tego nie powie, chyba jaki nieznośny, dumny na pieniądze dorobkiewicz, a zresztą my nie usłyszymy tego co o nas mówić będą!

— Ale ja nie chcę, aby moja Kasia miała gorzej wyglądać jak owa elegancka panna Cox, — zawołał ojciec z gorzkim uśmiechem, myśląc w tej chwili pewnie o dziecku panny Cox, który mojemu dziadkowi buty codziennie czyścił!

Rozśmiałam się, chcąc ojca rozweselić i rzekłam z godnością:

— Papo, chociażbym miech miała na sobie, to zawsze jeszcze będę wyglądała jak prawdziwa lady obok panny Cox.

Jechaliśmy blizko godzinę drogą, wysadzaną wysokiemi drzewami, i około ósmej stanęliśmy przed wspaniałym pałacem, zbudowanym w stylu — nie wiem już, jakim, i ozdobionym świeżym herbem Coxów. Pan Cox został przed czterema tygodniami szlachcicem! — Służba w czerwonej liberyi biegała tu i tam, ujrzałam morze światła i usłyszałam ogłuszający hałas tak, że nie wiedziałam, czy stoję na nogach czy na głowie. Ojciec przedstawił mnie jakiejś otyłej damie, której ręce pokryte były bransoletkami, była to pani Cox.

Po odbytej prezentacyi, usiadłam z lżejszem sercem na krześle i przyglądałam się swemu otoczeniu. Ogromny salon, zupełnie inaczej urządzony, niż nasz — jasno oświetlony, ściany zakryte kosztownemi obrazami, meble modne i zbytkowne — tak mieszkali państwo Cox, a my? Towarzystwo bardzo było liczne — znajdowało się tu kilku lordów, hrabiów, dużo szlachty okolicznej i członków parlamentu; panie ubrane były w aksamity i koronki, panny w jasne tiule i jedwabie, a wszystkie miały brylanty na szyjach i w włosach.

Starszym paniom nie zazdrościłam aksamitów i patrzałam na nie obojętnie, ale panny... ach! Bo jeżeli moja suknia wyglądała już biednie w naszym ciemnym przedsionku, to jak wyglądała tu, wobec arcydzieł najpierwszych krawczek stolicy! I ku memu największemu zmartwieniu zauważyłam jeszcze i to, że uczesaną byłam zupełnie niemodnie.

Byłam tu, w najbliższem naszem sąsiedztwie, tak obcą, jak gdybym przybywała z Kamczatki: nie znałam żywej duszy. Kilka osób — to jest — panów, spojrzało na mnie, zapewne dziwili się mej sukni.

— Pytają się, kto jest tem straszydłem na wróble, — myślałam z goryczą. — O Kasio Le Strange, biedna istoto! O wiele lepiej byłoby ci w domu, w twej starej, perkalowej sukience!

Na mój wiek bardzo byłam dziecinną; czułam się tu tak opuszczoną i tak osamotnioną pomiędzy tylu obcemi osobami, że łzy stanęły mi w oczach. Lecz w chwili, w której zabierano się do kolacyi, wszedł do salonu jeszcze jeden mężczyzna, spóźniony gość — wysoki, szczupły o jasnych, bujnych włosach... Poznałam go natychmiast, był to mój bohater z cmentarza! Ojciec, prowadzący do stołu lady Blank, przechodził właśnie koło mnie i uśmiechnął się — uśmiechnęłam się także i zapomniałam o mej lichej sukni i o moim poprzednim smutku... Mój bohater bowiem podał mi ramię i zaprowadził mnie do sali jadalnej. Ale zamiast rozmawiać ze mną, jadł spokojnie zupę i żadnej na mnie nie zwracał uwagi. Ja zupy nie jadłam, mogłam go zatem uważnie obserwować i widziałam teraz dopiero, że twarz jego bardzo była piękną. Przez lewy policzek ciągnęła się długa, szeroka blizna, z którą bardzo mu było do twarzy.

— Czemu on nic do mnie nie mówi? — myślałam zmartwiona jego milczeniem. — Może nie wie, o czem mówić! Mila twierdzi, że piękni mężczyzni zwykle są małomówni. —

Nie śmiałam się odezwać pierwsza, w końcu jednak, jak gdyby był odgadnął moje myśli, rzekł mój towarzysz:

— Obawiam się, że przestraszyłem panią wczoraj!

— Nie bardzo!

— Myślałaś pani, że jestem złym duchem lub jakimś potworem!

— Ach nie, tego nie myślałam, bo...

Zamilkłam, chciałam bowiem powiedzieć: bo pan za ładny jest na ducha lub potwora. Na szczęście przypomniało mi się, że nie wypada, aby młoda dziewczyna prawiła grzeczności nieznajomemu mężczyznie.

— Bo co? — zapytał.

— Bo... bo... — jąkałam, — bo nie słyszałam nigdy ani o duchu ani o potworze mającym złote włosy.

— Moje włosy nie są złote, — odrzekł obojętnie, — mają one stanowczo kolor lnu.

— Ja tego nie uważam.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Tajemnica morza.

14)

(Ciąg dalszy).

Tu, między liściowatemi zwojami, zobaczyłem wolną perłę, dochodzącą wielkości orzecha kokosowego. Jej kształt kulisty, doskonała przeźroczystość i przedziwny blask różnobarwny, tworzyły z niej klejnot nieocenionej wartości. Ciekawością zdjęty, wyciągnąłem rękę, żeby ją wyjąć, zważyć, obejrzeć. Kapitan jednak zatrzymał mnie, zrobił znak przeczący i szybkim ruchem wyciągnąwszy sztylet, nagle zamknął obie skorupy muszli.

Zrozumiałem wówczas zamiar kapitana Nemo. Zostawiając tę perłę, osłonioną ciałem trydakny, pozwalał jej nieznacznie wzrastać. Z każdym rokiem wydzieliny mięczaka dodały do niej nowe pokłady spółśrodkowe. Sam tylko kapitan znał jaskinię, gdzie dojrzewał ten przedziwny owoc natury, sam hodował go niejako, aby z czasem przenieść do swego szacownego muzeum. Może nawet, naśladując przykład Chińczyków i Indyan, sam spowodował utworzenie tej perły, kładąc pod zwoje mięczaka kawałek szkła lub metalu, który potem zwolna okrywał się materyą perłową. W każdym razie, porównywając tę perłę z tą, którą już znałem — i z temi, które jaśniały w zbiorze kapitana, oceniłem jej wartość co najmniej na dziesięć milionów franków.

Skończyła się wizyta u bogatej ostrygi. Kapitan Nemo wyszedł z jaskini i wstępowaliśmy na ławicę perlicową, pośród wód przezroczystych, których nie mąciła jeszcze praca nurków.

W dziesięć minut później kapitan Nemo nagle zatrzymał się. Myślałem, że się chce zawrócić; ale nie. Skinieniem ręki kazał nam skryć się przy nim w głębi szerokiego wydrążenia skały. Ręka jego była wyciągnięta i bacznie patrzyłem w jej kierunku.

O pięć metrów odemnie ukazał się cień i zniżył aż do ziemi. Niepokojąca myśl o rekinach znowu przemknęła po mojej głowie, myliłem się jednak; i tym razem jeszcze nie mieliśmy do czynienia z potworami oceanu.

Był to człowiek, człowiek żywy, Indyanin, rybak, biedaczysko, który zapewne wyruszył na pokłosie przed żniwami. Zobaczyłem dno jego łodzi, stojącej o kilka stóp nad jego głową. Zanurzał się i wypływał kolejno. Kamień ociosany w kształcie głowy cukru, który ściskał nogami, gdy tymczasem sznur łączył go ze statkiem, służył mu do szybszego spuszczania się na dno morza. Były to wszystkie jego narzędzia. Spuściwszy się na dno pięć mętrów głębokie, padał na kolana i napełniał swój worek perliczkami, na chybi trafi zebranemi. Potem wypływał na wierzch, wypróżniał swój worek, wyciągał z wody kamień i na nowo rozpoczynał operacyę, która nie trwała dłużej nad trzydzieści sekund za każdym razem.

Nurek ten nas nie widział,gdyż cień skały nas zasłaniał. A zresztą, jak mógł ten biedny Indyanin przypuszczać, że istoty podobne do niego były pod wodą, śledziły jego poruszenia i nie traciły najmniejszego szczegółu jego łowów?

Tym sposobem kilkakrotnie wypłynął i zanurzył się znowu, a za każdym razem wyniósł nie więcej jak kilkanaście perliczek; musiał bowiem wydzierać je z ławicy, do której przyczepiły się silnym bisiorem. A ile z tych ostryg pozbawione było owych pereł, dla których narażał swe życie!

Patrzyłem na niego z natężoną uwagą. Manewry jego odbywały się regularnie, i przez pół godziny żadne niebezpieczeństwo nie zdawało się mu zagrażać. Oswajałem się więc z widowiskiem tych zajmujących łowów, gdy nagle w chwili, gdy Indyanin klęczał na dnie morza, zobaczyłem jak się obrócił przerażony, podniósł i skoczył, żeby wypłynąć na powierzchnię wody.

Zrozumiałem jego przestrach. Olbrzymi cień ukazał się nad nieszczęśliwym nurkiem. Był to rekin niezwykłej



...Utopił mu w brzuchu sztylet...

wielkości, spuszczający się po linii przekątnej, z rozpromienionym ślepiem i rozwartemi szczękami.

Oniemiałem ze zgrozy i nie mogłem się poruszyć.

Żarłoczne zwierzę silnem uderzeniem pletw rzuciło się

ku Indyaninowi, który zręcznie odskoczył na bok i uniknął zębów rekina, lecz pchnięty ogonem w piersi, padł na ziemię.

Scena trwała może parę sekund. Rekin powrócił, i obracając się na grzbiecie, zabierał się do przecięcia Indyanina na dwoje, gdy kapitan Nemo, który siedział przy mnie, nagle zerwał się na nogi, i ze sztyletem w ręku porwał się na potwora, gotów stoczyć z nim bój śmiertelny.

Żarłacz, w chwili gdy miał porwać nieszczęśliwego rybaka, spostrzegł nowego przeciwnika, i obracając się brzuchem, szybko skierował się ku niemu.

Widzę jeszcze postawę kapitana Nemo. Spokojny, z przedziwnie zimną krwią czekał na strasznego żarłacza, a gdy ten rzucił się ku niemu, kapitan ze zdumiewającą zręcznością uniknął starcia, i chwyciwszy zwierzę za pletwę przy dolnej szczęce, utopił mu w brzuchu sztylet po rękojeść. Nie na tem koniec: teraz właśnie rozpoczęła siz walka.

Rekin ryknął, że tak powiem. Krew strumieniami trysnęła z jego rany. Morze zafarbowało się czerwono i przez ten ciemny płyn nic już nie widziałem.

Nie widziałem nic aż do chwili, gdy przy smudze światła ujrzałem znów zuchwałego kapitana, jak wciąż, trzymając pletwę potwora, walczył z nim zawzięcie, prując brzuch nieprzyjaciela, a jednak nie mogąc mu zadać stanowczego ciosu, to jest ugodzić w serce. Żarłacz, broniąc się, wściekle poruszał wody, których bałwany o mało mnie nie obaliły.

Chciałem biedz na pomoc kapitanowi, ale grozą zdjęty nie mogłem się poruszyć.

Patrzyłem obłąkanym wzrokiem. Widziałem zmieniające się zwroty walki. Kapitan padł na ziemię, powalony potwornem cielskiem, które na nim ciążyło. Później szczęki rekina rozwarły się niepomiernie, jak ogromne nożyce, i jużbyłoby po kapitanie, gdyby lotem błyskawicy nie nadbiegł Ned-Land i harpunem swoim nie zadał rekinowi śmiertelnego ciosu.

Masa krwi zafarbowała fale. Ned dzielnie uderzył. Ugodzony w samo serce, potwór rzucał się w strasznych konwulsyach i obalił Konsela.

Ned tymczasem oswobodził kapitana, który, wstawszy bez rany, poszedł prosto do Indyanina, żywo odciął kamień, wziął omdlałego na ręce i silnie uderzywszy nogą o ziemię, wypłynął z nim na powierzchnię morza.

Wszyscy trzej poszliśmy za jego przykładem i po kilku chwilach, cudownie ocaleni, dostaliśmy się do łodzi rybaka.

Pierwszem staraniem kapitana Nemo było przywołać nieszczęśliwego do życia. Nie wiedziałem, czy to się uda. Wprawdzie zanurzenie biedaka nie długo trwało, ale rekin uderzeniem ogona mógł zabić go na miejscu.

Szczęściem, silnie nacierany przez Konsela i kapitana, topielec odzyskał przytomność i otworzył oczy. Proszę sobie wyobrazić jego zdziwienie a nawet przestrach na widok czterech dużych głów miedzianych, nad nim pochylonych.

A nadewszystko, gdy kapitan Nemo, wyjąwszy z kieszeni swego ubrania torebkę z perłami, wetknął mu ją do ręki! Ta szczodra jałmużna człowieka wód, dana biednemu Indyaninowi Cejlonu, przyjęta była ze drżeniem. Wytrzeszczone i wylękłe oczy nieboraka dostatecznie wskazywały, iż nie wiedział, jakim istotom nadludzkim zawdzięczał majątek i życie.

Na dany znak przez kapitana, wróciliśmy do ławicy perłowej, idąc drogą już przebieżoną; po wędrówce półgodzinnej doszliśmy do kotwicy przytrzymującej łódź „Nautilusa".

Zasiadłszy w łodzi, każdy z nas przy pomocy marynarzy, oswobodził się z ciężkiego czerepu.

Pierwsze słowa kapitana Nemo zwrócone były do Kanadyjczyka.

— Dziękuję ci, mości Land — rzekł do niego.

— O, kapitanie — odpowiedział Ned Land — to tylko wet za wet. Należało się to panu odemnie.

Blady uśmiech przemknął się po ustach kapitana i na tem się skończyło.

— Do „Nautilusa" — rzekł.

Łódź szybko mknęła po falach. W kilka minut później spotkaliśmy pływające cielsko zabitego rekina.

Kiedym się przypatrywał zabitemu cielsku, z kilkanaście takich samych czarnopletwych żarłoków ukazało się nagle około łodzi; nie zajmując się jednak nami, rzuciły się na trupa i wydzierały sobie jego kawały.

O wpół do dziewiątej powróciliśmy na pokład.

Tu jąłem rozważać przygody naszej wycieczki do ławicy Manaarskiej. Dwie myśli przedewszystkiem mnie zastanawiały: niesłychana, do zuchwalstwa posunięta odwaga kapitana Nemo i jego poświęcenie się dla istoty ludzkiej, dla jednego z przedstawicieli plemienia, od którego uciekał pod morza. Cokolwiek mówił ten dziwny człowiek, nie zdołał on przecież stłumić w sobie głosu serca i litości dla bliźnich.

Kiedym mu powtórzył to spostrzeżenie, odpowiedział mi głosem nieco wzruszonym:

— Ów Indyanin, panie profesorze, jest mieszkańcem kraju uciśnionych, a jeszcze należę, i do ostatniej chwili życia należeć będę do tego kraju.

Morze Czerwone.

W ciągu dnia 29-go stycznia wyspa Ceylon zniknęła pod widnokręgiem. Nazajutrz, gdy „Nautilus" wpłynął na powierzchnię oceanu, nigdzie jeszcze nie widzieliśmy lądu; statek biegł ku zatoce Perskiej.

Oczywiście była to droga bez wyjścia. Dokąd nas prowadził kapitan Nemo? Nie mogłem odgadnąć. Nie zadowoliło to Kanadyjczyka, który w dniu tym pytał mnie dokąd zmierzamy.

— Ta zabawka — rzekł Kanadyjczyk — nie daleko może nas zaprowadzić. Zatoka Perska nie ma wyjścia, a dostawszy się do niej, zmuszeni będziemy wkrótce się zawrócić.

— Ha, więc się zawrócimy, mości Land, i po zatoce Perskiej „Nautilus" zechce zwiedzić morze Czerwone.

— Ależ panie — odrzekł Ned-Land — wiesz bardzo dobrze, że morze Czerwone jest zamknięte jak zatoka, skoro międzymorze Suez nie jest jeszcze przebite.

— Przypuszczam, że po zwiedzeniu tych ciekawych okolic Arabii i Egiptu, „Nautilus" powróci na ocean Indyjski i opłynie Afrykę, wpłynie na Atlantyk ku Europie.

Przez cztery dni, do 3-go lutego, „Nautilus" zwiedzał zatokę Perską, a dnia 5-go lutego wpłynęliśmy na sławne jezioro z tradycyi biblijnych morze Czerwone, którego deszcze nie odświeżają, ani rzeki większe nie zasilają.

Dnia 9-go lutego w południe kapitan Nemo wyszedł na platformę, gdzie już stałem. Zobaczywszy mnie, zbliżył się uprzejmie, ofiarował cygaro i rzekł:

— Cóż, panie profesorze, jak się podoba to morze Czerwone? Czy dobrze zauważyłeś pan cuda, jakie ono zawiera?

(Dalszy ciąg nastąpi).